



E.T.A. HOFFMANN
Panna de Scudéry

E. T. A. Hoffmann

Panna de Scudéry

Opowiadanie z czasów Ludwika XIV

przełożył

Stanisław Sierosławski

.....

Fundacja Festina Lente

W małym dworku przy ulicy Saint-Honoré mieszkała panna Magdalena de Scudéry, znana autorka zgrabnych utworów poetyckich, ulubienica Ludwika XIV i pani de Maintenon.

Pewnego dnia późno w nocy — było to w jesieni 1680 roku — zaczął ktoś silnie i gwałtownie kołatać do drzwi dworku, tak, że cała sień rozbrzmiewała głośnym echem. Baptysta, który w małym gospodarstwie panny de Scudéry piastował godność kucharza, a zarazem służącego i odźwiernego, wyjechał za zezwoleniem pani na wieś, na ślub siostry, w domu więc czuwała tylko pokojówka, imieniem Martinière. Słyszała ona powtarzające się kołatanie i przypomniała sobie, że Baptysta wyjechał i że obie z panią zostały same, bez niczyjej opieki. Wszystkie zbrodnie, włamania, kradzieże i morderstwa, zdarzające się wówczas tak często w Paryżu, stanęły jej nagle żywo przed oczyma i była niemal pewna, że banda rabusiów, dowiedziawszy się o osamotnieniu domu, czeka przed bramą i zamierza napaść na znajdujące się wewnątrz kobiety. Dlatego też, strwożona i drżąca, nie opuszczała swego pokoiku, złorzeczac Baptystę i ślubowi jego siostry.

Tymczasem kołatanie nie ustawało, a chwilami zdawało się jej, że słyszy głos jakiś, wołający wśród łomotu:

— Otwórzcie, na miłość boską, otwórzcie przecie!

Wreszcie, coraz bardziej drżąc ze strachu, chwyciła szybko lichtarz z płonąca świecą i wybiegła do sieni. Tutaj słyszała już wyraźnie głos pukającego:

— Otwórzcie, na miłość boską!

„Tak chyba nie przemawia żaden opryszek — pomyślała — któż wie, czy jakiś prześladowany człowiek nie szuka opieki u mojej pani, znanej z tyłu dobrodziejstw. Ale ostrożność nie zawadzi nigdy”.

Otworzyła okno i zapytała, kto dobija się do bramy o tak późnej godzinie i budzi wszystkich ze snu. Mówiła to głosem głębokim, aby jak najbardziej był podobny do męskiego. W blaskach promieni księżycy, które właśnie przedarły się przez czarne chmury, spostrzegła wysoką postać, owiniętą w jasnoszary płaszcz, w dużym kapeluszu, naciśniętym głęboko oczy.

— Baptysto, Klaudiuszu, Piotrze — zawołała głośno, aby stojący na dole mógł usłyszeć — wstańcie no i zobaczcie, co to za nicpoń chce nam rozbić bramę!

Z dołu odpowiedział jej łagodny, jękliwy głos:

— Ach, panno Martinière, wiem przecie, że to ty jesteś, chociaż starasz się, pani, głos zmienić. Wiem także, że Baptysta pojechał na wieś i że jesteś w domu sama z panią. Ale otwórz spokojnie, nie bój się niczego! Muszę koniecznie pomówić z twoją panią, i to jeszcze w tej chwili!

— Cóż pan sobie myślisz? — odpowiedziała Martinière. — Chcesz pan mówić z moją panią w nocy, o tej godzinie? Czyż nie wiesz, że już dawno śpi, a ja za żadną cenę nie zbudzę jej z pierwszej słodkiej drzemki, której w tym wieku tak potrzebuje?

— Wiem, że twoja pani — mówił stojący na dole — dopiero przed chwilą odłożyła rękopis swego romansu *Celia*, nad którym teraz gorliwie pracuje, i zapewne pisze jeszcze ostatnie wiersze, aby je jutro odczytać markizie de Maintenon. Zaklinam cię, panno Martinière, miej litość nade mną i otwórz drzwi. Wiedz, że chodzi o to, aby nieszczęśliwego człowieka uratować od zguby, wiedz, że honor, wolność, a nawet życie jego zawisły od chwili, kiedy pomówię z twoją panią. Pomyśl tylko, że pani wieczyście pogniewałaby się na ciebie, gdyby się dowiedziała, że odpędziłaś Nielitościwie od drzwi nieszczęśliwca, który przyszedł błagać ją o pomoc.

— Ale czemu chcesz pan z nią mówić o tak niezwykłej porze? Przyjdź jutro we właściwej godzinie! — odpowiedziała.

— Czy los, który spada, niszcząc jak piorun, troszczy się o czas i godzinę? Czy można odwłóczyć pomoc, gdy każda chwila jest droga? Otwórz drzwi! Nie obawiaj się biedaka, który opuszczony przez cały świat, prześladowany, przygnieciony niezmiernym nieszczęściem pragnie błagać twą panią o ratunek w grożącym niebezpieczeństwie!

Martinière usłyszała, że stojący na dole westchnął i zaszlochał mówiąc te słowa, przy tym głos jego łagodny i młodzieńczy poruszył głęboko jej serce. Nie namyślając się dłużej, przyniosła klucze.

Skoro tylko drzwi otworzyła, nieznajomy, owinięty szczelnie w płaszcz, wtargnął do wnętrza domu i, idąc przodem przez sień, krzyczał dzikim głosem:

— Prowadź mnie do pani!

Przerażona Martinière podniosła w górę świecznik, a wtedy blask światła padł na trupioblada, strasznie wykrzywioną twarz młodzieńca. Omal też nie upadła na ziemię ze strachu, gdy mężczyzna rozsunął płaszcz, a za pasem ukazała się błyszcząca rękojeść sztyletu.

Spojrzał na nią iskrzącymi oczyma i krzyknął jeszcze bardziej dziko:

— Prowadź mnie do pani, powiadam ci!

Martinière nie wątpiła już, że pani jej grozi wielkie niebezpieczeństwo. Miłość do ukochanej opiekunki, którą uwielbiała jak własną matkę, zapłonęła silniej w jej sercu i wznieciła w niej dziwną odwagę, jakiej sama się po sobie nie

spodziewała. Zamknęła prędko drzwi swego pokoiku, stojące dotąd otworem i zastąpiła drogę nieznanemu.

— W istocie — rzekła pewnie i stanowczo — pańskie szalone zachowanie tutaj źle się godzi z płaczącymi słowami, jakich używałeś pan, stojąc przed domem, a którymi, w bardzo niewłaściwej chwili, jak mi się teraz zdaje, obudziłeś moją litość. Z moją panią nie powinieneś pan i nie będziesz mówić. Jeśli nic złego nie zamierzasz uczynić, nie powinieneś się obawiać światła dziennego, przyjdź więc jutro i przedstaw swą prośbę! Teraz wynoś się pan z domu!

Nieznanomy wydał głuche westchnienie, spojrzawszy błędnie straszonym wzrokiem na dziewczynę i położył rękę na sztylcie. Martinière w milczeniu poleciła Bogu swą duszę, ale stała odważnie i patrzyła mu śmiało w oczy, przytrzymując silnie drzwi, przez które musiałby przejść, aby się dostać do jej pani.

— Puść mnie do pani, mówię ci! — krzyknął nieznanomy raz jeszcze.

— Rób pan, co ci się podoba — odparła Martinière — ja stąd nie ustąpię. Dokończ dzieła, które rozpocząłeś! I ciebie spotka haniebna śmierć na Placu de la Grève, jak twoich nędznych kompanów!

— Ha! — krzyknął nieznanomy — masz słuszość, Martinière, wyglądam jak rabuś, uzbrojony jestem jak morderca, ale moich kompanów nie spotkała jeszcze kara, nie są ukarani!

Mówiąc to, spojrzawszy groźnie na śmiertelnie przerażoną dziewczynę i wyciągnął sztylet.

— Boże! — krzyknęła, wyczekując śmiertelnego ciosu.

W tej samej chwili rozległ się na ulicy szcęk oręża i tętent koni.

— Maréchaussée!... maréchaussée!... policja na pomoc! na pomoc! — krzyknęła Martinière.

— Straszna kobieto, pragniesz mojej zguby! Teraz wszystko stracone, wszystko stracone! Weź, weź to! Daj to swej pani dzisiaj, jutro, kiedy ci się podoba! — Mrucząc cicho te słowa, nieznanomy wyrwał świecznik z rąk dziewczyny, zgasił świecę i wcisnął jej w rękę małą szkatułkę.

— Na zbawienie duszy zaklinam cię, oddaj swej pani tę szkatułkę! — zawołał raz jeszcze i wybiegł z domu.

Martinière upadła na ziemię. Po chwili podniosła się z trudem, po omacku w ciemności poszła do swego pokoju i, wyczerpana, niezdolna z siebie głosu wydobyć, upadła na krzesło. Usłyszała teraz brzęk kluczy, które pozostawiła w bramie domu. Ktoś zamknął bramę; ciche, niepewne kroki zbliżały się do jej pokoju. Przykuta trwogą do miejsca, nie mając siły się poruszyć, oczekiwała najstraszniejszych rzeczy, toteż serce jej rozradowało się szczerze, skoro drzwi się rozwarły i przy blasku lampy od pierwszego wejrzenia poznała pocziwego Baptystę.

Był blady jak trup i przerażony.

— Na wszystkie świętości, mów, Martinière, co się tutaj działo! Ach ta trwoga, ta trwoga! Nie wiem, co mi się stało, ale wczoraj wieczorem coś pchało mnie tutaj z wesela z nieprzewartą siłą. Nareszcie przybywam na tę ulicę. Martinière, myślę, nie śpi twardo, usłyszysz, gdy lekko zapukam do bramy, i otworzy. Wtem spotykam silny patrol, konnych, pieszych, zbrojnych od stóp do głów, którzy zatrzymują mnie i nie chcą wypuścić. Na szczęście był między nimi Desgrais, porucznik konnej policji. Zna mnie dobrze, więc kiedy mi podsunęli pod nos latarnię, mówi do mnie: „Ej, Baptysto, skądże wracasz tak późno? Powinieneś siedzieć w domu i pilnować. Tu nie jest bezpiecznie, jeszcze dziś w nocy czeka nas niezwykły połów.” Nie uwierzysz, Martinière, jakie wrażenie wywarły na mnie te słowa. A gdy wchodzę na próg, wypada z domu jakiś zakapturzony człowiek z błyszczącym sztyletem w ręce i pędzi przed siebie — dom otwarty, klucze w zamku — mów, co to wszystko znaczy!

Martinière, ochłonawszy z trwogi, opowiedziała wszystko, co zaszło. Oboje zeszli do sieni i znaleźli na podłodze świecznik, porzucony tam przez nieznanego podczas ucieczki.

— Nie ma wątpliwości — rzekł Baptysta — że on chciał obrabować albo zamordować naszą panią. Jak mi opowiadałaś, wiedział o tym, że jesteście same w domu, co więcej, wiedział, że pani nie śpi jeszcze, że pisze. Był to z pewnością jeden z najgorszych łotrów i opryszków, którzy wdzierają się do wnętrza domu i podstępnie badają pierwaj wszystko, co im może ułatwić wykonanie ich szatańskich zamysłów. A tę małą szkatułkę najlepiej wrzucić do Sekwany, i to w najgłębszym miejscu. Któż może wiedzieć, czy jakiś przekłety zbrodniarz nie czyha na życie naszej pani. Kto wie, czy pani, otworzywszy szkatułkę, nie padnie trupem, jak niedawno stary markiz de Tournay, gdy otworzył list, otrzymany od nieznanego.

Po długiej naradzie postanowili wreszcie wierni służący opowiedzieć nazajutrz wszystko swej pani i wręczyć jej tajemniczą szkatułkę, aby ją z należytą ostrożnością otworzyć. Oboje rozważali dokładnie wszystkie szczegóły pojawienia się podejrzanego nieznanego i nabrali przekonania, że wchodzi tu w grę jakaś szczególna tajemnica, której nie mogą rozstrzygać na własną odpowiedzialność, lecz muszą pozostawić swej pani do osądzenia.

Obawy Baptysty nie były bezpodstawne. Właśnie wówczas był Paryż widownią najstraszniejszych występków, właśnie wówczas szatańskie wymysły piekła dostarczały najłatwiejszych środków zbrodni.

Aptekarz niemiecki Glaser, najlepszy chemik owych czasów, oddawał się, jak to czyniło wtedy wielu przedstawicieli tej gałęzi wiedzy, badaniom alchemicznym. Celem ich było odkrycie kamienia filozoficznego. W badaniach tych dopomagał mu Włoch nazwiskiem Exili. Dla niego sztuka robienia złota była tylko pozorem. W zupełnie innym celu pragnął on wyuczyć się mieszania, gotowania i skraplania trujących pierwiastków, po których oczekiwał mocy uzdrawiania. Po pewnym czasie udało mu się przyrządzić jedną z tych trucizn bez woni i smaku, które, zabijając albo od razu, albo powoli, nie pozostawiają

żadnych śladów w ciele człowieka i wprowadzają w błąd sztukę i wiedzę lekarską, tak że lekarze, nie przeczuwając otrucia, muszą przypisać śmierć naturalnym przyczynom. Aczkolwiek Exili zabierał się bardzo ostrożnie do dzieła, został oskarżony o sprzedawanie trucizn i przewieziony do Bastylii. W tej samej celi zamknięto wkrótce potem kapitana Godin de Sainte Croix, który przez długi czas pozostawał w bliższych stosunkach z markizą de Brinvilliers, co spowodowało hańbę na cały ród i w końcu, ponieważ markiz nie reagował na występki swej małżonki, skłoniło jej ojca Dreux d'Aubraya, komendanta Paryża, chcącego rozdzielić występłą parę, do wydania rozkazu uwięzienia kapitana. Namiętny, bez charakteru, udający pobożność, a skłonny od młodości do wszelakich występków, zazdrosny i mściwy kapitan nie mógł niczego bardziej pragnąć niż zdobycia tajemnic współwięźnia, gdyż dawałyby mu one moc zgładzenia wszystkich wrogów. Toteż został najgorliwszym uczniem Exiliego i wkrótce dorównał mistrzowi tak, że wypuszczony z Bastylii mógł rozpocząć pracę na własną rękę.

Markiza de Brinvilliers była kobietą zwyrodniałą; Sainte Croix zrobił z niej potwora. Nakłonił ją najpierw do otrucia jej własnego ojca, u którego mieszkała, pielęgnując go z bezwstydną obłudą, potem obu braci, a wreszcie siostry. Ojca — przez zemstę, resztę rodziny — celem zyskania olbrzymiego spadku. Historia wielu trucicieli jest strasznym dowodem na to, że podobne zbrodnie stają się powoli nieprzepartą namiętnością. Bez żadnego celu, dla prostej przyjemności, tak jak chemik dla rozrywki wykonuje doświadczenia, mordując truciciele ludzi, których życie lub śmierć są im zupełnie obojętne. Nagła śmierć wielu ubogich w Hôtel-Dieu wzbudziła później podejrzenie, że chleb, który markiza de Brinvilliers rozdawała tam co tydzień żebrakom, aby uchodzić za wzór pobożności i dobroczynności, był zatruty. Pewne jest, że zatruchiwała pasztety z gołębi, którymi częstowała swych gości. Chevalier du Guet i kilka innych osób padło ofiarą tych szatańskich biesiad. Sainte Croix, jego pomocnik la Chaussée i markiza de Brinvilliers umieli przez długi czas swoje potworne występki osłaniać nieprzejrzaną tajemnicą, lecz jakaż najstraszniejsza zbrodnia może się ukryć, gdy wieczna potęga niebios postanowiła już na ziemi ukarać zbrodniarzy?

Trucizny przyrządzane przez kawalera Sainte Croix były tak straszne, że gdy proszek nie był szczelnie zamknięty (paryżanie nazywali go *poudre de succession* — *proszek spadkowy*), wystarczył jeden wdech, aby paść trupem na miejscu. Dlatego Sainte Croix używał przy swych pracach szklanej maski, zakrywającej całą twarz. Pewnego dnia, kiedy chciał wsypać do fiolki gotową truciznę, maska spadła mu z twarzy, a on runął nieżywy na ziemię, wciągnąwszy w płuca nieco drobnuteńkiego pyłku trucizny. Ponieważ umarł nie zostawiając potomków, sądy postanowiły opieczętować jego spuściznę. Przy tej sposobności znaleziono w zamkniętej skrzyni cały arsenał piekielnych trucizn, a także listy od pani de Brinvilliers, które w sposób niewątpliwy dowodziły jej winy. Markiza uciekła do klasztoru. Wysłano w pogoń

Desgrais'go, urzędnika policji. W przebraniu duchownego zjawił się w klasztorze. Udało mu się zdobyć miłość tej przewrotnej kobiety i namówić ją na tajemną schadzke w pewnym ogrodzie poza miastem. Zaledwie jednak tam przybyła, otoczyli ją siepacze Desgrais'go, a duchowny kochanek przedzierzgnął się nagle w urzędnika policji, który polecił markizie wsiąść do karety, stojącej w pogotowiu poza obrębem ogrodu. W otoczeniu siepaczy karetka odjechała w kierunku Paryża. La Chaussée już wcześniej został ścięty, markizę dosięgła podobna śmierć. Ciało jej po straceniu spalono, a proch rozsypano na wszystkie strony świata.

Paryżanie odetchnęli, gdy już zniknął ze świata potwór, który tajemną, morderczą broń bezkarnie kierował przeciwko przyjaciołom i wrogom. Wkrótce przekonano się jednak, że straszna sztuka kawalera de Sainte Croix nie znikła ze świata bezpotomnie. Jak niewidzialne, podstępne widmo, wślizgiwał się mord do najściślejszego koła, jakie tworzy przyjaźń, miłość, pokrewieństwo i powalał pewnie i szybko nieszczęśliwe ofiary. Kto dziś jeszcze chodził zdrów i szczęśliwy, padał nazajutrz bez życia, a sztuka lekarzy nie mogła go obronić przed śmiercią. Bogactwo, korzystne stanowisko, piękna, może zbyt młoda kobieta były wystarczającym powodem śmiertelnego prześladowania. Najstraszniejsza nieufność rozluźniła najświętsze węzły. Mąż drżał przed żoną, ojciec przed synem, siostra przed bratem. Potrawy i wina nietknięte zostawały na stole biesiadnym, który przyjaciel nakrywał dla przyjaciela; tam gdzie dawniej gościła swoboda i wesołość, przerażone oczy szukały ukrytych morderców. Można było widzieć ojców rodzin, kupujących trwożnie środki żywności na odległych przedmieściach i gotujących je własnoręcznie w brudnych garkuchniach, bo we własnym domu obawiali się piekielnej zdrady. A przecież i największa, najtroskliwsza przezorność była czasem daremną.

Aby zapobiec rosnącemu ciągle występкови, powołał król specjalny trybunał, któremu polecił wyłącznie sąđenje i karanie tych tajemnych zbrodni. Była to tak zwana *Chambre Ardente*, która odbywała swe posiedzenia niedaleko Bastylli. Na jej czele stał La Regnie. Ale przez długi czas wszystkie jego najgorliwsze usiłowania były bezowocne; wykrycie najtajniejszych kryjówek występku przypadło w udziale przebiegłemu panu Desgrais.

Na przedmieściu Saint-Germain mieszkała stara kobieta nazwiskiem Voisin, która trudniła się wrózeniem i zaklinaniem duchów, a z pomocą swych towarzyszy, le Sage'a i le Vigoureux, wprawiała w podziw i trwoę nawet osoby wcale nie łatwowierne. Ale zajmowała się ona także czym innym. Uczennica Exiliego, podobnie jak Sainte Croix, przyrządzała trucizny niepozostawiające śladów i pomagała wyrodnym synom w szybkim osiągnięciu spadku, wyrodnym żonom w zdobyciu drugiego, młodszego małżonka. Desgrais wykrył jej tajemnicę — przyznała się do wszystkiego. *Chambre Ardente* skazała ją na śmierć przez spalenie na stosie, a wyrok wykonano na placu de la Grève. Znalaziono u niej listę wszystkich, którzy korzystali z jej pomocy; i nie tylko egzekucja następowała po egzekucji, ale ciężkie podejrzenia zwróciły się nawet

przeciwko osobom zajmującym bardzo wysokie stanowiska. I tak, mówiono, że kardynał Bonzy znalazł u pani Voisin środki na uśmiercenie w krótkim czasie wszystkich osób, którym, jako arcybiskup Narbonne, musiał płacić pensje. Podobnie oskarżono księżnę de Bouillon i hrabinę de Soissons, których nazwiska znaleziono na liście, o związki z przewrotną kobietą; nie oszczędzono nawet księcia Henri de Montmorency, Boudebelle'a, księcia Luksemburga, para i marszałka Francji. I jego także ścigała Chambre Ardente. On sam zgłosił się do więzienia w Bastylji, gdzie go zionący nienawiścią Louvois i la Regnie wtrącili do lochu długości sześciu stóp. Miesiące minęły, nim wyszło na jaw, że przestępstwo księcia nie zasługiwało wcale na karę. Kazał kiedyś, by le Sage postawił mu horoskop.

To pewne, że ślepą gorliwością kierował się prezydent La Regnie w tych aktach gwałtu i okrucieństwa. Trybunał przyjął w zupełności charakter inkwizycji, najbliższe podejrzenie było wystarczającym powodem surowego więzienia i często tylko od przypadku zależało wykazanie, że ktoś niewinnie został skazany na śmierć. La Regnie miał nieprzyjemny wygląd i złośliwą naturę, tak że wkrótce ściągnął na siebie nienawiść tych, których był mścicielem i obrońcą. Księżna de Bouillon zapytana przez niego w czasie przesłuchania, czy widziała diabła, odrzekła: „Zdaje mi się, że widzę go w tej chwili”.

Strumieniami lała się krew zbrodniarzy i podejrzanych na placu de la Grève, a tajemne trucicielstwo stawało się z wolna coraz rzadsze, gdy nagle pojawiły się zbrodnie innego rodzaju, które znowu wywołały powszechne zaniepokojenie. Zdawało się, że banda opryszków postanowiła wszystkie kosztowności Paryża zgromadzić w swym ręku. Kosztowne klejnoty, zaledwie zakupione, znikwały w niepojęty sposób, bez względu na to, jak i gdzie były ukryte. Co gorsza, ludzi, którzy odważali się mieć przy sobie kosztowności, wieczorami obrabowywano wprost na ulicy lub w ciemnych krużgankach domów, nieraz mordowano nawet.

Ci, którzy zdołali ująć z życiem, opowiadali później, że uderzenie pięścią w głowę powalało ich jak piorun na ziemię, a gdy później wracali do przytomności, znajdowali się, obrabowani doszczętnie, w całkiem innym miejscu, nie tam, gdzie ich cios powalił. Zamordowani, których prawie codziennie rano znajdowano na ulicach lub w domach, mieli wszyscy podobne rany. Wszyscy otrzymywali cios sztyletem w serce, uśmiercający, zdaniem lekarzy, tak pewnie i szybko, że raniony bez jęku padał na ziemię.

Nie było wówczas na słynącym ze swobodnych obyczajów dworze Ludwika XIV prawie nikogo, kto by się nie oddawał tajemnym miłostkom i nie biegł nieraz w nocy do ukochanej z kosztownymi podarkami. A zbrodniarze, jak gdyby w porozumieniu z niewidzialnymi duchami, zawsze dokładnie o tym wiedzieli. Nieraz nieszczęśliwy nie miał czasu dojść do domu, gdzie nań szczęście czekało; nieraz padał na progu, nieraz nawet przed drzwiami pokoju kochanki, która z przerażeniem odnajdywała jego skrwawione zwłoki.

Na próżno d'Argenson, minister policji, kazał więzić wszystkich, którzy wydawali się podejrzanymi, na próżno La Regnie szalał i starał się wymusić zeznania, na próżno wzmacniano strażę i patrole — nie można było znaleźć śladu zbrodniarza. Tylko największa przezorność, uzbrojenie od stóp do głowy, orszak z pochodniami, zabezpieczała poniekąd przed śmiercią, chociaż zdarzały się i takie wypadki, że służącego odpędzano kamieniami, a w tej samej chwili mordowano i rabowano jego pana.

Najdziwniejszym było to, że wszelkie poszukiwania we wszystkich miejscach, gdzie się tylko odbywał handel kosztownościami, nie zdołały wykryć ani jednego ze zrabowanych klejnotów. Wskutek tego brakło najmniejszego choćby śladu, który mógłby naprowadzić na trop zbrodniarza.

Desgrais pienił się z wściekłości, że rabusie umieli ujść nawet jego sprytowi. Dzielnica miasta, w której się znajdował w danej chwili, była bezpieczna przed napadem, ale równocześnie w innej, gdzie nikt nie przypuszczał nic złego, skrytobójca wyszukiwał swe bogate ofiary.

Desgrais wpadł wreszcie na nowy pomysł. Rozpuścił po mieście kilku ludzi, tak do niego podobnych z ruchów, mowy, postaci, twarzy, że nawet agenci policyjni nie mogli rozpoznać, gdzie prawdziwy Desgrais się znajduje. Desgrais zaś, narażając życie, to czał się po najskrytszych zaułkach, to szedł za tym lub owym, który z jego polecenia miał przy sobie kosztowności. Na takiego nie napadano nigdy, więc rabusie wiedzieli widocznie dobrze o użyciu nowego podstępu. Desgrais popadł w zwątpienie.

Pewnego dnia przyszedł Desgrais do prezydenta La Regnie blady, prawie nieprzytomny.

— Co się stało, jakie wiadomości? Znalazłeś ślad? — wołał prezydent.

— Ha, łaskawy panie — odrzekł Desgrais nie mogąc mówić z wściekłości — ha... wczoraj w nocy niedaleko Luwru napadnięto markiza de la Fare w mojej obecności.

— Na Boga, mamy ich — zawołał rozradowany La Regnie.

— O, posłuchaj pan najpierw, co zaszło — rzekł Desgrais z gorzkim uśmiechem. — Stoję koło Luwru i czatuję na tych szatanów, którzy szydą z wszelkiego pościgu. Wtem zbliża się ku mnie niepewnym krokiem jakiś człowiek, który ogląda się ciągle za siebie i nie widzi mnie wcale. W świetle księżycy poznaję markiza de la Fare. Mogłem się go tam spodziewać; wiedziałem, dokąd idzie. Ale zaledwie oddalił się ode mnie o dziesięć lub dwanaście kroków, wypada, jak spod ziemi, jakaś postać, powala go i rzuca się na niego. Uradowany wypadkiem, który mógł wydać zbrodniarza w moje ręce, krzyknąłem głośno i chciałem skoczyć ku niemu z mojej kryjówki. Wtem zaplątałem się w płaszcz i upadłem. Widzę, iż ów człowiek ucieka jak wichrem pędzony; zrywam się, biegnę za nim i biegnąc, daję znak trąbką; z daleka odpowiadają mi gwizdki agentów; ulice ożywiają się, ze wszech stron słychać szczęk oręża i tętent koni.

„Tutaj, tutaj! Desgrais, Desgrais!” — krzyczę, aż echo grzmi.

Ciągle widzę go przed sobą w blasku księżyca; aby zmylić mój pościg, zawraca tu i tam. Dobiegamy do ulicy Nicaise; siły jego widocznie słabną, ja wyteżam swoje wszystkie, jeszcze tylko piętnaście kroków dzieli mnie od niego...

— Doganiasz go pan, chwytasz, nadbiegają agenci — zawołał La Regnie z płonącym wzrokiem, chwytając Desgrais' go za ramię, jak gdyby to on był uciekającym zbrodniarzem.

— Na piętnaście kroków przede mną — mówił dalej Desgrais, oddychając ciężko — na piętnaście kroków przede mną człowiek wskakuje w cień i znika w murze.

— Znika? W murze! Czyś pan oszalał! — krzyknął La Regnie, odstępując od niego na dwa kroki i załamując ręce.

— Nazwij mnie pan szalonym, zabobonnym — kończył Desgrais opowiadanie, trąc czoło jak człowiek dręczony przykrą myślą — ale tak właśnie było, jak panu opowiadam. Osłupiały stoję przed murem. Nadbiegają bez tchu agenci, wraz z nimi markiz de la Fare, który już oprzytomniał, z mieczem w ręku. Zapalamy pochodnie, badamy mur ze wszystkich stron; nigdzie ani śladu drzwi, okna lub otworu. Mocny kamienny mur przytyka do domu zamieszkanego przez ludzi, na których nie może paść nawet cień podejrzenia. Dzisiaj jeszcze raz obejrzałem wszystko dokładnie. To sam szatan nas chyba zwodzi.

Wieść o wypadku, jaki spotkał pana Desgrais' go rozniosła się po Paryżu. Ponieważ głowy i tak już były pełne opowiadań o czarnoksięstwie, zaklinaniu duchów, związkach pani Voisin, Vigoureux, sławnego duchownego Le Sage'a z szatanem, więc też, zgodnie z wrodzonym naszej naturze pociągiem do wszystkiego co nadprzyrodzone i cudowne, niedługo wierzo powszechnie, że zbrodniarze, jak to Desgrais w zwątpieniu był powiedział, zapredali diabłu swe dusze i znajdują się pod jego opieką. Oczywiście do historii pana Desgrais' go dodano niejedną zmyślony szczegół. Opowieść tę, ogłoszoną drukiem i ozdobioną ryciną, przedstawiającą ohydłą postać diabła, zapadającego się w ziemię przed przerażonym panem Desgrais, sprzedawano na wszystkich rogach. Wystarczyło to, aby ostatecznie przerazić ludność i odebrać odwagę nawet agentom, którzy odtąd błakali się w nocy trwożnie i nieśmiało po ulicach, obwieszeni amuletami i pokropieni wodą święconą.

D'Argenson widząc, że wszystkie usiłowania Chambre Ardente są daremne, udał się do króla i prosił go o ustanowienie nowego trybunału, który by, jeszcze rozleglejszą mając władzę, śledził i karał nowych zbrodniarzy. Ale król, przekonany, że już Chambre Ardente za wielką dał władzę, zmartwiony okrucieństwem niezliczonych wyroków śmierci, wydanych przez krwawego sędziego La Regnie, odrzucił projekt.

Obmyślono inny sposób, aby pozyskać króla dla tej sprawy.

W komnatach pani de Maintenon, gdzie król zwykł był spędzać popołudnia, a nawet pracować ze swymi ministrami do późnej nocy, w imieniu

zagrożonej miłości wręczono królowi poemat, w którym kochankowie skarżyli się, że chcąc dopełnić obowiązków galanterii i wręczyć ukochanej kosztowne podarki, muszą ustawicznie narażać swoje życie. Zaszczycem i rozkoszą jest w rycerskim boju przelać krew za ukochaną, inaczej rzecz się ma w wypadku podstępного napadu zbrodniarza, przeciwko któremu nie można się obronić. Ludwik, jaśniejąca gwiazda przewodnia miłości i galanterii, może rozproszyć ciemności nocy i odsłonić kryjącą się w nich tajemnicę. Bohater, który pogromił wrogów, dobędzie teraz znowu błyszczącego oręża i jak Herkules hydrę lernejską, jak Tezeusz Minotaura, tak on pokona groźnego potwora, który wszelką radość zmienia w głęboki ból, w beznadziejny smutek.

Jakkolwiek rzecz była zupełnie poważna, nie brakowało jednak w owym poemacie pomysłów, dowcipnych zwrotów, zwłaszcza w odmalowaniu, jak to kochankowie na tajemniczej ścieżce do ukochanej doznają lęku, jak to strach w załączku już uśmierca miłosny animusz, niszczy piękną przygodę galantów. Kończył się utwór wspaniałym panegirkiem na cześć Ludwika XIV, który król przeczytał z widocznym zadowoleniem. Skończywszy, król — nie odrywając oczu od papieru — żywo zwrócił się do pani de Maintenon, raz jeszcze głośno odczytał poemat, po czym z miłym uśmiechem zapytał, co myśli o życzeniach narażonych na niebezpieczeństwo kochanków. Pani de Maintenon — zawsze wierna powadze swego usposobienia, zawsze z zabarwieniem pewnej bogobojności — odpowiedziała, że tajemne, zakazane drogi nie potrzebują szczególniejszej opieki, natomiast tak straszne zbrodnie zasługują na zastosowanie specjalnych środków, mogących je wytepić. Król, niezadowolony z jej wymijającej odpowiedzi, złożył papier i chciał już odejść do sekretarza pracującego w sąsiednim pokoju, gdy nagle wzrok jego padł na pannę de Scudéry, która była przy tym obecna i siedziała na małym krześle poręczowym tuż obok pani de Maintenon. Przystąpił do niej, a łagodny uśmiech, który przed chwilą znikł z jej twarzy, pojawił się znowu. Stanąwszy tuż przy niej, rozwinął powtórnie poemat i zagadnął uprzejmie:

— Markiza nie chce nic wiedzieć o zalotach naszych zakochanych panów i daje mi wymijającą odpowiedź. A pani co sądzi o tej poetycznej prośbie?

Panna de Scudéry z należną czcią powstała z krzesła. Przelotny rumieniec jak wieczorna purpura zaróżowił bladą twarz starej, szacownej damy. Skłoniła się lekko i rzekła ze spuszczonej oczyma:

*Un amant, qui craint les voleurs,
n'est point digne d'amour.*

*Zakochany, który boi się złodziei,
nie jest godzien miłości.*

Król, zadziwiony rycerskim duchem tych kilku słów, które obalały poemat wraz z jego łokciowej długości tyradami, zawołał z błyskiem w oku:

— Na świętego Dionizego, masz pani rację! Ślepe środki ostrożności, dotykające zarówno winnych jak niewinnych, nie mogą ochraniać tchórzostwa. Niech d'Argenson i La Regnie pełnią dalej swoje obowiązki.

Martinière najżywszymi barwami odmalowała wszystkie okropności tego czasu, opowiadając nazajutrz swej pani o tym, co zaszło poprzedniej nocy. Drżąc i dygocąc, oddała jej też tajemniczą szkatułkę. Zarówno ona, jak Baptysta, który, blady z trwogi i zakłopotania, stał w kącie pokoju, gniotąc w rękę czapkę, niezdolny prawie słowa wymówić, zaklinali swą panią na wszystkie świętości, aby otwierała szkatułkę z możliwie największą ostrożnością. Panna de Scudéry, ważąc w rękę zamkniętą tajemnicę i oglądając ją, przemówiła z uśmiechem:

— Oboje widzicie upiory. O tym, że nie jestem bogata, że nie znajdą u mnie skarbów godnych zabójstwa, wiedzą tajemniczy zbrodniarze, którzy przecież wedle waszych słów badają najskrytsze tajniki domów. Wiedzą o tym równie dobrze jak ja i wy. Ktoś miałby się porwać na moje życie? Komuż mogłoby zależeć na śmierci siedemdziesięcioletniej osoby? Nie prześladowałam nigdy nikogo prócz zbrodniarzy i niegodziwców w romansach przeze mnie samą stworzonych; piszę nie najlepsze wiersze, niemogące wzbudzić niczyjej zazdrości, nie pozostawię nic prócz dobytku starej panny, bywającej niekiedy u dworu, której całym majątkiem jest kilka pięknie oprawnych książek za złoconymi brzegami. I chociaż, dobra Martinière, opisujesz tak strasznie postać nieznanego, nie mogę przypuścić, aby miał jakieś złe zamiary. Zatem...!

Martinière odskoczyła w tył, a Baptysta z głuchym okrzykiem upadł prawie na kolana, gdy panna de Scudéry nacisnęła wystający stalowy guzik, a wieko szkatułki z trzaskiem odskoczyło.

Panna de Scudéry zdziwiła się niezmiernie, gdy z wnętrza szkatułki błysnęła para złotych, bogato drogimi kamieniami zdobnych bransolet i równie piękny naszyjnik. Wyjęła klejnoty ze szkatułki i podziwiała misterną robotę naszyjnika. Równocześnie Martinière oglądała bogate bransolety, wołając raz po raz, że nawet dumna pani de Montespan nie posiada podobnych kosztowności,

— Ale co to jest? Co to ma znaczyć — mówiła panna de Scudéry.

W tej samej chwili zauważyła na dnie szkatułki małą zwiniętą kartkę. Słusznie spodziewała się znaleźć w niej rozwiązanie tajemnicy. Ale skoro tylko przeczyła jej treść, kartka wypadła z jej drżących rąk. Spojrzała z niemym zapytaniem w niebo i na wpół przytomna upadła na krzesło. Martinière i Baptysta skoczyli ku niej przerażeni.

— O! — zawołała głosem zduszonym łzami — O, cóż za hańba, cóż za zniewaga! W podeszłym wieku tego musiałam doczekać?! Cóż zrobiłam, wiedzona nierozsądną lekkomyślnością, jak młode, niedoświadczone dziewczę! O Boże, czyż słowa na wpół żartem wypowiedziane można tłumaczyć tak

okropnie? Czyż cnotą i pobożnością, jakie pielęgnuję od lat najmłodszych, mogłam zasłużyć na zarzut tak szatańskiego współnictwa?!

Panna de Scudéry podniosła chusteczkę do oczu i łkała tak gwałtownie, że Martinière i Baptysta, oboje strwożeni i zakłopotani, nie wiedzieli, jak pomóc swej dobrej pani w jej ciężkim zmartwieniu.

Martinière podniosła z ziemi tajemniczą kartkę.

Były na niej następujące słowa:

*Un amant, qui craint les voleurs,
n'est point digne d'amour.*

Twój bystry umysł, Czcigodna Pani, ocalił nas od wielkiego prześladowania za to tylko, że korzystamy z prawa silniejszych wobec słabości i tchórzliwości i przywłaszczamy sobie skarby, które by inaczej w niegodny roztrwoniono sposób. Jako wyraz naszej wdzięczności racz, Pani, przyjąć te klejnoty! Są one najkosztowniejsze ze wszystkich, jakie od długiego czasu zdołaliśmy osiąść, aczkolwiek Tobie, Czcigodna Pani, przystałyby klejnoty piękniejsze od tych. Prosimy, abyś raczyła nie zapominać o okazywanej nam przyjaźni i zachowała miłe wspomnienie.

Niewidzialni

— Czyż to możliwe — zawołała panna de Scudéry, ochłonawszy nieco — aby ktoś mógł się tak daleko posunąć w bezwstydnym szyderstwie i bezczelności!

Słońce przeświecało przez purpurowe firanki w oknach, a brylanty, leżące na stole obok otwartej szkatułki, rozbłysnęły wspaniale czerwonym blaskiem. Panna de Scudéry, spostrzegłszy je, zakryła oblicze z przestachem i rozkazała służącej, by natychmiast usunęła straszliwe klejnoty, splamione krwią pomordowanych. Martinière, schowawszy spiesznie bransolety i naszyjnik do szkatułki, ośmieliła się zauważyć, że najlepiej byłoby oddać klejnoty ministrowi policji i opowiedzieć mu o wszystkim, co zaszło, zarówno o przerażonym młodzieńcu, jak o wręczeniu szkatułki.

Panna de Scudéry powstała i przez chwilę powoli i w milczeniu chodziła po pokoju, jak gdyby zastanawiając się dopiero, co powinna uczynić. Potem rozkazała Baptyście sprowadzić lektykę, a służącej pomóc sobie przy ubieraniu, gdyż postanowiła udać się natychmiast do markizy de Maintenon.

Kazała się zanieść do markizy właśnie w tej godzinie, o której — jak wiedziała — markiza była sama w swoich komnatach. Szkatułkę z klejnotami zabrała ze sobą.

Markiza zdziwiła się niemało, skoro ujrzała, że panna de Scudéry, zawsze pełna godności a nawet — mimo podeszłego wieku — wdzięku, weszła do pokoju blada, zmieniona na twarzy, drżąca.

— Na miły Bóg, co się pani stało? — zapytała biedną przerażoną damę.

Panna de Scudéry, prawie nieprzytomna, zaledwie mogła ustać na nogach i usiłowała tylko śpiesznie podejść do krzesła, podanego jej przez markizę. Wreszcie, gdy już mogła przemówić, opowiedziała, jak głęboką, nie dającą się przeboleć przykrość spowodował ów nierozważny żart, którym odpowiedziała na prośbę nieszczęśliwych kochanków. Markiza, wywiedziawszy się szczegółowo o wszystkim, wyraziła przekonanie, że panna de Scudéry zanadto bierze do serca to niezwykle zdarzenie, tym bardziej, że szyderstwo bezwstydną tuszycy nie zdoła nigdy dotknąć pobożnego, szlachetnego ducha. Zapragnęła też zobaczyć klejnoty.

Panna de Scudéry podała jej otwartą szkatułkę, a markiza na widok klejnotów nie mogła powstrzymać głośnego okrzyku zdziwienia. Wyjęła bransolety i naszyjnik i podeszła z nimi do okna, gdzie już to poruszała nimi, aby rozbłysły w słońcu barwami, już to zbliżała do oczu misterne dzieło, aby dokładnie zobaczyć, jak kunsztownie było obrobione każde ogniwo zawilego łańcucha.

Nagle markiza odwróciła się szybko i zawołała:

— Czy wiesz, pani, że te bransolety i ten naszyjnik nie mogły być zrobione przez nikogo innego, jak przez mistrza René Cardillaca?

René Cardillac był naówczas najbieglejszym złotnikiem w Paryżu, jednym z najznamienitszych i zarazem najniezwyklejszych ludzi swego czasu. Był raczej niewysoki, ale miał szerokie barki i mocną, muskularną budowę ciała. Mimo przeszło pięćdziesięciu lat, posiadał jeszcze siłę i zwinność młodzieńca. O sile jego, którą można by nazwać niezwykłą, świadczyły także gęste, kędzierzawe rude włosy i czerstwa, błyszcząca twarz. Gdyby cały Paryż nie znał go jako uczciwego człowieka, szczerego, bezinteresownego, zawsze gotowego spieszyć z pomocą, można by go posądzić o tajemną chytryść i złośliwość, ze względu na szczególne spojrzenia małych, głęboko osadzonych zielonkawych oczu.

Jak się rzekło, Cardillac był w swej sztuce mistrzem nie tylko Paryża, ale w ogóle całej swej epoki. Dobrze obznajmiony ze wszystkim, co się tyczyło drogich kamieni, umiał je oprawiać w tak kunsztowny sposób, że nieraz kamień, uważany poprzednio za niepozorny, wychodził z jego pracowni lśniący przepychem. Wszelkie zamówienia przyjmował skwapliwie i pożądliwie i naznaczał tak niskie ceny, że nie pozostawały w żadnym stosunku do jego pracy. Żądza pracy nie dawała mu też spokoju, w dzień i w noc słychać było stuk w jego warsztacie. Często, gdy praca była już niemal ukończona, nagle przestawał mu się podobać kształt klejnotu; wątpił w zgrabność jakiejś oprawy kamienia, jakiegoś małego haczyka — i to wystarczało już, aby wszystko rzucić do tygła i na nowo rozpoczynać pracę. Stąd każda jego praca stawała się nieskazitelnym, niezrównanym arcydziełem, które w podziw wprawiało

zamawiającego. Ale też trudno było odebrać od niego zamówioną pracę. Pod tysiącem pozorów odwlekał jej wydanie z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc. Daremnie ofiarowano mu nieraz podwójną zapłatę, nie chciał przyjąć ani jednego ludwika ponad umówioną cenę. A kiedy wreszcie na natarczywe żądania zamawiającego musiał ustąpić i oddać klejnot, nie mógł się powstrzymać od objawów głębokiego niezadowolenia, ba, nawet wewnętrznej wściekłości, która nim miotła.

Kiedy musiał oddać jakieś znaczniejsze, wspanialsze dzieło, mające wartość wielu może tysięcy z powodu kosztowności kamieni i misternej roboty, nieraz biegał jak szalony, przeklinając siebie, swą pracę i wszystko dokoła. Ale skoro ktoś pobiegł za nim i zawołał: „Panie Cardillac, może zrobiłbyś pan piękny naszyjnik dla mojej narzeczonej, bransoletę dla mojej córki” — wtedy stawał cicho, spoglądał na mówiącego swymi małymi oczkami i pytał zacierając rękę:

— Cóż pan tam masz?

— Są tu drogie kamienie — mówił tamten, wyciągając jakąś szkatułkę — nic szczególnego, zwykłe kamyczki, ale w pańskich rękach...

Cardillac nie pozwalał mu dokończyć, wrywał z rąk szkatułkę, wyjmował kamienie, nieraz istotnie niewielkiej wartości, oglądał je pod światło i wołał z zachwytem:

— Ho, ho!... nic szczególnego? Bynajmniej! Piękne kamienie... wspaniałe kamienie! Pozwól pan tylko, niech je oprawię! A jeżeli nie zależy panu na garści złota, to dorzucę jeszcze kilka kamyczków, które panu będą świecić w oczy jak samo słońce.

— Zdaję się całkowicie na pana, mistrzu René i zapłacę, ile zechcesz — odpowiadał tamten.

Bez względu na to, czy mówiący był zamożnym mieszczańcem, czy wytwornym dworakiem, Cardillac rzucał mu się radośnie na szyję, ścisnął, całował, twierdził, że dopiero teraz jest całkiem szczęśliwy i że robotę za osiem dni ukończy. Potem na łeb na szyję biegł do domu, do warsztatu, kuł bez przerwy i w ciągu dni ośmiu wykonywał arcydzieło.

Ale skoro zamawiający przychodził, by z radością uiścić nieznaczną zapłatę i odebrać gotowy klejnot, Cardillac stawał się nieznośny, szorstki i oporny.

— Ależ, mistrzu René, jutro mój ślub!

— Co mnie obchodzi pański ślub. Przyjdź pan za dwa tygodnie!

— Klejnot gotowy. Potrzebuję go niezwłocznie. Tu są pieniądze.

— A ja mówię panu, że muszę jeszcze niejedno zmienić i dzisiaj stanowczo go nie wydam.

— A ja panu powiadam, że jeżeli dobrowolnie nie wydasz mi naszyjnika, za który zresztą chętnie zapłacę podwójnie, to ujrzysz mnie pan tu za chwilę w towarzystwie usłużnych pomagierów d'Argensona.

— No, niechże pana w piekle diabli dręczą tysiącem rozżarzonych szczypiec, niech uwieszą cetnarowe ciężary u naszyjnika, żeby zdusiły pańską narzeczoną!

Mówiąc to wkładał narzeczonemu klejnot do kieszeni, chwycił go za ramię i wyrzucił za drzwi tak, że spadał ze wszystkich schodów. A potem śmiał się z okna jak szatan, widząc, jak biedny młody człowiek, kulejąc, wychodził z domu z chustką przy krwawiącym nosie.

Trudno też było wytłumaczyć, dlaczego Cardillac często, chociaż z radością podjął się pracy, nagle wzburzony, ze łzami w oczach, szlochając, najczulszymi słowami zaklinał zamawiającego na wszystkie świętości, aby cofnął zamówioną pracę. Wiele osób cieszących się szacunkiem króla i sympatią ludu na próżno ofiarowywało olbrzymie sumy, byleby otrzymać jakąś drobnostkę zrobioną przez Cardillaca. Rzucił się do nóg królowi i błagał o łaskę, aby nie żądał od niego żadnych prac. Podobnie odrzucał każde zamówienie pani de Maintenon, co więcej, z wyrazem wstrętu i przerażenia odrzucił jej zlecenie, aby wykonać mały, ozdobiony artystycznymi emblematami pierścionek, przeznaczony dla Racine'a.

— Założę się — mówiła, pomnąc na to pani de Maintenon — że Cardillac, gdybym nawet posłała po niego, aby się przynajmniej dowiedzieć, dla kogo były przeznaczone te kosztowności, nie zechce przybyć, bo będzie się obawiał jakiegoś zamówienia, a on przecież dla mnie wcale nie chce pracować. Chociaż od pewnego czasu podobno przestał być uparty. Słyszałam, że pracuje teraz gorliwiej niż kiedykolwiek i oddaje na czas zamówioną pracę, acz zawsze z głębokim niezadowoleniem i odwracając oczy.

Panna de Scudéry, której także niezmiernie zależało na tym, aby klejnoty, jeśli to tylko możliwe, najrychlej powróciły do rąk prawowitego posiadacza, uważała, że należy od razu zawiadomić mistrza dziwaka, iż nikt nie żąda od niego pracy, a jedynie jego sądu o klejnotach. Markiza uznała to za słuszne. Posłano po Cardillaca; po upływie kilku chwil wszedł do pokoju, jak gdyby już był się znajdował w drodze.

Wydawał się zakłopotany, skoro spostrzegł pannę de Scudéry. I jak ktoś, kto, dotknięty nagle jakimś niespodziewanym ciosem, zapomina o nakazanych przez chwilę zwyczajach uprzejmości — skłonił się najpierw głęboko i z uszanowaniem przed tą czcigodną damą, potem dopiero zwrócił się do markizy. Ona, wskazując klejnoty błyszczące na ciemnozielonym nakryciu stołu, zaczęła natarczywie pytać, czy to jego dzieło. Cardillac zaledwie na nie spojrział; potem wpatrując się błędnie w twarz markizy, włożył spiesznie bransolety i naszyjnik do stojącej obok szkatułki i gwałtownie odsunął od siebie. Brzydki uśmiech przemknął po jego zaczerwienionej twarzy, gdy zaczął mówić:

— Istotnie, pani markizo, tylko ktoś, kto by źle znał dłuto René Cardillaca, mógłby przez chwilę choćby przypuścić, że jakikolwiek inny w świecie złotnik potrafiłby stworzyć takie dzieło. Niewątpliwie jest to moja robota.

— Więc powiedz pan, dla kogo stworzyłeś te kosztowności?! — pytała dalej markiza.

— Dla mnie samego — odparł Cardillac. — Możecie w to wątpić, ale tak jest istotnie — ciągnął, widząc zdziwienie na twarzy pani de Maintenon i panny de Scudéry, z których pierwsza patrzyła nań z niedowierzaniem, zaś druga ze smutnym oczekiwaniem, jak się sprawa zakończy. — Tak, tylko w tym celu, aby wykonać piękne dzieło, zebrałem moje najwspanialsze kamienie i pracowałem gorliwiej i staranniej niż kiedykolwiek. Niedawno klejnoty te w niepojęty sposób zniknęły z mej pracowni.

— Bogu dzięki! — wykrzyknęła panna de Scudéry i z błyszczącymi radością oczyma, szybko i zwinnie jak młoda dziewczyna, zerwała się z krzesła, podeszła do Cardillaca i położyła mu na barkach obie dłonie. — Odbierzcie, mistrzu René — rzekła — waszą własność, skradzioną przez niegodnych zbrodniarzy!

Potem opowiedziała mu dokładnie, jaką drogą klejnoty dostały się w jej ręce.

Cardillac wysłuchał wszystkiego w milczeniu, ze spuszczonej oczami. Tylko chwilami wyrywały się z jego piersi niezrozumiałe dźwięki: „Hm! Tak? Ej! Ho, ho!” To zakładał ręce na plecy, to gładził się lekko po brodzie i po twarzy.

Kiedy wreszcie panna de Scudéry skończyła opowiadać, stał dalej w milczeniu, jak gdyby walczył z jakąś niezwykłą myślą, która go podczas opowiadania opanowała, jak gdyby nie mógł powziąć jakiegoś zamiaru i wykonać go. Pocierał czoło, wzdychał, to znowu przesuwał dłonią po oczach, aby powstrzymać cisnące się łzy. Wreszcie pochwycił szkatułkę, którą mu panna de Scudéry podawała, upadł na kolana i przemówił:

— Tobie, zacna, czcigodna pani, przeznaczył los te klejnoty. Teraz dopiero wiem naprawdę, że podczas pracy myślałem o tobie, że pracowałem dla ciebie. O, nie pogardź, pani, tymi klejnotami, może najwspanialszymi, jakie od dłuższego czasu stworzyłem; przyjm je ode mnie i noś!

— Ej, ej! — odpowiedziała panna de Scudéry żartobliwie. — Co sobie pan wyobrażasz, mistrzu René? Czyż przystoi mi, w moim podeszłym wieku, stroić się w tak świetne kamienie? I czymże zasłużyłam na to, abyś mnie tak po królewsku obdarzał? Daj spokój, daj spokój, mistrzu René! Gdybym była tak piękną jak markiza de Fontanges i bogatą, w istocie, nie wypuściłabym z rąk tego skarbu. Ale na co się przyda próżny przepych tym zwiędłym ramionom, ta błyszcząca ozdoba osłoniętej szyi?

Cardillac podniósł się tymczasem, jak nieprzytomny, z dzikim wzrokiem ciągle podawał szkatułkę pannie de Scudéry.

— Ulituj się, pani, nade mną i przyjm te klejnoty! Nie uwierzysz, jak głęboką cześć żywię w sercu dla twojej cnoty, dla twoich wielkich zasług. Przyjm mój skromny podarunek i niech ci się wydaje, że chcę ci tym moje najskrytsze uczucia udowodnić.

Gdy panna de Scudéry jeszcze ciągle zwlekała z postanowieniem, markiza de Maintenon wzięła szkatułkę z rąk Cardillaca i rzekła:

— Na miły Bóg, ciągle mówisz, pani, o swoim podeszłym wieku. Co nas, mnie i panią, obchodzą lata i ich ciężary? I czyż nie postępujesz, pani, jak wstydliva młoda dziewczyna, która chętnie sięgnęłaby po podany jej zakazany owoc, gdyby mogła to uczynić nie poruszając palcem? Nie odrzucaj prośby dzielnego mistrza René i przyjm chętnie ten podarunek, którego tysiące innych kobiet nie mogłoby otrzymać za największe sumy, mimo prośb i błagań.

Równocześnie pani de Maintenon wcisnęła przemocą pannie de Scudéry szkatułkę do ręki. Cardillac rzucił się na kolana, zaczął całować kraj sukni i rękę panny de Scudéry — wzdychał, jęczał, płakał, wreszcie zerwał się i jak szalony wybiegł pospiesznie z pokoju, przewracając krzesła i stoliki, tłukąc szkło i porcelanę.

— Na Boga! — zawołała panna de Scudéry z przestachem — co się dzieje z tym człowiekiem?

Ale markiza w niezwykle wesołym usposobieniu, graniczącym z obcą jej zwykle swawolą, rozśmiała się dźwięcznie i rzekła:

— Otóż to, droga pani! Mistrz René zakochał się w pani śmiertelnie i według przyjętego powszechnie obyczaju prawdziwej galanterii usiłuje podbić twe serce kosztownymi podarunkami.

I w dalszym ciągu snuła pani de Maintenon wesoły żart, zachęcając pannę de Scudéry, aby nie była zbyt srogą dla zropaczonego wielbiciela. Wreszcie panna de Scudéry, z natury bardzo wesoła, porwana jej tryskającym dowcipem, sama rzuciła się w wir tysiąca żartobliwych pomysłów. Zaczęła twierdzić, że wobec tego, jeśli tak się sprawa przedstawia, będzie musiała ulec i dać światu niesłychane widowisko siedemdziesięcioletniej oblubienicy złotnika, pochodzącej z nieposzlakowanego szlachtetnego rodu. Pani de Maintenon ofiarowała się własnoręcznie uwić ślubny wianek i pouczyć ją o obowiązkach dobrej żony, o czym oczywiście taka mała naiwna „dziewczynka” nie może mieć wyobrażenia.

Skoro jednak panna de Scudéry powstała wreszcie, aby pożegnać się z markizą, pomimo całej tej wesołości i żartów spoważniała znowu, biorąc do ręki szkatułkę z klejnotami.

— A przecież — rzekła — nigdy nie będę mogła ubrać się w te klejnoty. Mimo wszystko były w rękach tych niegodziwych zbrodniarzy, którzy z szatańską bezczelnością, a może nawet w piekielnym związku z szatanem, rabują i mordują. Strach mnie przejmuje i wydaje mi się, że krew plami te błyszczące kosztowności. A i samo zachowanie się Cardillaca, przyznać muszę, wydało mi się dziwnie niesamowite i przerażające. Nie mogę się pozbyć niejasnego przeczucia, że za tym wszystkim kryje się jakaś straszna, ponura tajemnica. I kiedy znów rozważam tę sprawę ze wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami, nie mogę się w żaden sposób domyślić, w czym leży tajemnica i jak w ogóle poczciwy, dzielny mistrz René, wzór dobrego, pobożnego

obywatela, mógłby uczynić coś złego, godnego potępienia. To jedno jest pewne, że nie odważy się nigdy włożyć na siebie tych klejnotów.

Markiza twierdziła, że panna de Scudéry zbyt poważnie pojmuje całą sprawę, ale gdy panna de Scudéry spytała ją, odwołując się do jej sumienia, jak postąpiłaby w podobnym położeniu, odparła głosem pewnym i stanowczym:

— Raczej wolałabym wrzucić klejnoty do Sekwany, niż włożyć je na siebie.

Zajście z mistrzem René dało pannie de Scudéry temat do pięknego utworu, który następnego dnia odczytała królowi w komnatach pani de Maintenon. Pisząc, umiała pokonać obawę tajemnych przeczuć i żywymi barwami skreśliła dowcipny obraz siedemdziesięcioletniej oblubienicy złotnika, pochodzącej ze starodawnego szlacheckiego rodu. Król uśmieł się serdecznie i przysięgał, że Boileau-Despréaux znalazł swego mistrza, wskutek czego utwór panny de Scudéry uchodził za najdowcipniejszy, jaki kiedykolwiek napisano.

Przeminęło kilka miesięcy, przypadek zdarzył, że panna de Scudéry jechała w oszklonym powozie księżnej Montansier przez Pont Neuf. Piękne te oszklone powozy były naówczas jeszcze nowością, toteż gdy który ukazał się na ulicy, tłum zbierał się licznie, aby go oglądać. I wtedy także tłum ludu otoczył na Pont Neuf powóz księżnej, tamując prawie drogę. Nagle panna de Scudéry usłyszała kłótnię i krzyki i zauważyła jakiegoś człowieka, który pięściami i rozdzielanymi dokoła uderzeniami torował sobie drogę przez zbitą masę ludzi. Skoro się zbliżył, oczy jej spotkały utkwiony w nią wzrok bladego młodzieńca o stroskanej twarzy. Młody człowiek, nie odwracając od niej oczu, przepychał się łokciami i pięściami, a gdy dopadł wreszcie drzwiczek powozu, szarpnął je gwałtownie i rzucił pannie de Scudéry na kolana zwiniętą kartkę. Potem, przepychając się znowu, bijąc i otrzymując uderzenia, zniknął tak, jak się pojawił.

Martinière, siedząca obok panny de Scudéry, zobaczywszy młodzieńca obok powozu, z okrzykiem przerażenia upadła zemdlona na poduszki. Na próżno panna de Scudéry ciągnęła za sznur i krzyczała na woźnicę, a ten, jak gdyby opętany przez złego ducha, popędzał biczem konie, które spienione stawały dęba, znowu pędziły przed siebie, aż wreszcie z hukiem przebiegły galopem przez most. Panna de Scudéry wylała flakonik trzeźwiącego płynu na zemdloną dziewczynę. Wtedy dopiero Martinière otworzyła oczy i przerażona, drżąc, kurczowo uczepliła się ręki swej pani. Szok i trwoga malowały się na jej twarzy; z trudem tylko zdołała wyjąkać:

— Najświętsza Panno! Czego chciał ten straszny człowiek? Ach, to był ten sam, który wówczas w tę okropną noc przyniósł szkatułkę!

Panna de Scudéry uspokoiła biedną dziewczynę, tłumacząc jej, że się nie stało nic złego — i że przede wszystkim trzeba się dowiedzieć, co kartka zawiera. Rozwinęła więc papier i znalazła te słowa:

Nieszczęsne przeznaczenie, które mogłabyś, Pani, odwrócić, pcha mnie w przepaść! Zaklinam Panią, jak syn matkę, której nie może porzucić, bo kocha ją najgorętszą miłością, abys naszyjnik i bransolety z rąk moich otrzymane pod jakimkolwiek pozorem — czy to dla naprawy, czy zmiany jakiejś — odniosła mistrzowi Cardillacowi. Życie i zdrowie Pani zależy od tego. A jeżeli w ciągu dwóch dni nie zechcesz, Pani, tego uczynić, wedrę się do Twego mieszkania i w Twoich oczach odbiorę sobie życie!

— Teraz nie można wątpić — rzekła panna de Scudéry, przeczytawszy list — że czy ten tajemniczy człowiek należy istotnie do bandy niegodziwych opryszków i rabusiów, czy nie, wobec mnie nie ma złych zamiarów. Gdyby mu się było udało wówczas w nocy pomówić ze mną, może wyjaśniłoby się to dziwne zdarzenie, może zdołałabym odsłonić tajny związek spraw, którego obecnie na próżno szukam w głębi mej duszy i którego nie mogę nawet przeczuwać! Ale bez względu na to, jak się sprawa przedstawia, uczynię, co list poleca, chociażby dlatego tylko, by pozbyć się tego nieszczęsnego daru, który mnie samej wydaje się piekielnym talizmanem złego. Cardillac nie wyda go pewnie łatwo z rąk, kierując się swymi dawnymi nawykami.

Zaraz następnego dnia postanowiła panna de Scudéry pójść z klejnotami do złotnika. Ale wszystkie artystyczne natury z całego Paryża jak gdyby zmówiły się, aby tego właśnie ranka zasypywać ją poematami, tragediami, anegdotami. Zaledwie La Chapelle skończył czytać scenę swej tragedii i zapewnił chytrze, że zamierza tym dziełem zwyciężyć Racine'a, gdy nadszedł sam Racine i przewyższył go patetyczną mową jakiegoś króla, potem zaś Boileau wyrzucał w czarne tragiczne niebo swe świetlane kule, chcąc uniknąć rozmowy o kolumnadach Luwru, w którą wplątał go miłośnik architektury, doktor Pérrault.

Zeszło tak do późnego południa; panna de Scudéry musiała spieszyć do księżnej Montansier i dlatego musiała także wizytę u mistrza René Cardillaca odłożyć do dnia następnego.

Ustawicznie czuła w duszy jakiś szczególny niepokój. Ciągłe stał jej przed oczyma ów młodzieniec, a w najskrytszych głębiach duszy poczęło się budzić jakieś niejasne wspomnienie, że widziała już kiedyś tę twarz i te rysy. Straszne sny budziły ją co chwilę; wydało się jej, że w lekkomyślny a nawet karygodny sposób zaniechała sposobności, aby dopomóc nieszczęśliwemu, który, spadając w przepaść, wyciągał ku niej dłonie; wydawało się jej, że w jej mocy było zapobiec jakiemuś zgubnemu zdarzeniu, straszliwej zbrodni.

Chociaż było jeszcze wcześniej rano, kazała się ubrać i, zabrawszy szkatułkę z klejnotami, pojechała do złotnika.

Ku ulicy Nicaise, tam, gdzie mieszkał Cardillac, spieszyły tłumy ludu, zbierały się przed domem, krzyczały, wrzeszczały, chciały się wedrzeć do wnętrza, a policja konna, ustawiona wkoło domu, z trudem tylko mogła

powstrzymać tłoczących się. W dzikim, pomieszany wrzasku słyhać było gniewne głosy:

— Rozszarpać, zabić tego niegodziwego zbrodniarza!

Wreszcie pojawił się Desgrais z liczniejszą strażą, która utorowała przejście wśród zbitego tłumu. Drzwi domu otwarły się, straż wyprowadziła z nich człowieka zakutego w kajdany i poczęła wlec go przez ulicę, wśród najstraszliwszych złorzeczeń rozwścieczonego tłumu.

W tej samej chwili, gdy panna de Scudéry, dręczona trwogą i strasznym przecuciem, to spostrzegła, doszedł do jej uszu głośny okrzyk rozpacz.

— Naprzód, dalej! — krzyczała, prawie nieprzytomna, na woźnicę, który, skręciwszy szybko i zręcznie wśród zbitego tłumu, zdołał wreszcie ruszyć i po chwili zatrzymał konie przed domem Cardillaca.

Panna de Scudéry spostrzegła tutaj Desgrais'go, a u nóg jego młodą, przepiękną dziewczynę, półnagą, z rozpuszczonymi włosami. Na twarzy dziewczęcia malował się dziki przestach i beznadziejna rozpacz, objęła kolana Desgrais'go i wołała głosem pełnym śmiertelnego bólu:

— On niewinny, niewinny!

Na próżno starał się Desgrais i jego podwładni oderwać ją i podnieść z ziemi. Wreszcie jakiś silny, brutalny pacholek uchwycił niezgrabnie nieszczęśliwą, oderwał ją przemocą od Desgrais'go i, potknąwszy się, upuścił ją na ziemię tak, że upadła, uderzając o kamienne schody, i leżała jak nieżywa na ulicy.

Panna de Scudéry nie mogła już dłużej na to patrzeć.

— Na Boga, co to znaczy, co się tutaj dzieje? — zawołała, otworzyła szybko drzwiczki i wyszła z powozu.

Tłum rozstał się z uszanowaniem przed czcigodną damą. Panna de Scudéry, widząc, że jakieś miłosierne kobiety podniosły dziewczynę, posadziły na schodach i nacierały jej czoło trzeźwiącą wodą, podeszła do Desgrais'go i gwałtownym tonem ponowiła swoje pytanie.

— Stała się straszna zbrodnia — odparł Desgrais — znaleziono dzisiaj rano Cardillaca zamordowanego pchnięciem sztyletu. Mordercą jest jego własny pomocnik, Oliwier Brusson. Właśnie poprowadzono go do więzienia.

— A ta dziewczyna? — pytała dalej panna de Scudéry.

— To Madelon — odrzekł Desgrais — córka Cardillaca. Ten niegodziwy człowiek był jej kochankiem. Teraz jęczy, płacze i krzyczy ciągle, że Oliwier jest niewinny, całkiem niewinny. Ostatecznie wie o zbrodni, więc każe ją także odprowadzić do więzienia.

Desgrais, mówiąc te słowa, spojrział na biedną dziewczynę tak złośliwie, tak uradowany jej nieszczęściem, że panna de Scudéry zadrżała. Dziewczyna właśnie zaczynała lekko oddychać, ale leżała jeszcze ciągle z zamkniętymi oczyma, nie mogąc się poruszyć ani wymówić słowa. Otaczający nie wiedzieli, co mają uczynić — czy przenieść ją do domu, czy też czekać, aż wróci zupełnie do przytomności.

Panna de Scudéry, wzruszona, ze łzami w oczach, patrzyła na niewinne stworzenie i drżała na myśl o strasznym Desgrais i jego pachołkach. Wtem na kamiennych schodach zastukały głucho kroki, wynoszono ciało Cardillaca. Panna de Scudéry nagle powzięła postanowienie.

— Zabieram z sobą dziewczynę — rzekła głośno — pan, panie Desgrais, możesz się zająć dalszym przebiegiem sprawy.

Głuchy szmer uznania przeleciał wśród tłumu. Kobiety podniosły dziewczynę do góry; wszyscy cisnęli się, tysiące rąk wyciągnęły się w jej obronie. Jakby płynącą w powietrzu, przeniesiono ją do powozu; wszystkie usta wielbiły i błogosławiły czcigodną damę, która wydarła krwawym sądom niewinną dziewczynę.

Po długich usiłowaniach udało się wreszcie Seronowi, najznakomitszemu w Paryżu lekarzowi, doprowadzić do przytomności biedną Madelon, która długie godziny leżała nieruchoma, bez zmysłów. Panna de Scudéry dokończyła dzieła lekarza, przemawiając do dziewczęcia łagodnymi słowy i budząc błyski nadziei w jej duszy. Wreszcie z oczu dziewczyny popłynęły obfite łzy, w których boleść znalazła ujście. Dusząc się od płaczu i nadmiaru przenikającego bólu, zaczęła opowiadać, jak się to wszystko stało.

O północy zbudziło ją lekkie stukanie do drzwi. Rozpoznała głos Oliwiera, który zaklinał ją, aby natychmiast wstała, bo ojciec umiera. Prerażona zerwała się i otworzyła drzwi. Oliwier, blady, zmieniony na twarzy, okryty potem, ze światłem w ręku, chwiejąc się, poprowadził ją do pracowni. Tam leżał ojciec z szeroko rozwartymi, martwymi oczyma, charcząc wśród przedśmiertnych cierpień. Z żalnym okrzykiem rzuciła się na niego i wtedy dopiero zauważyła jego skrwawioną koszulę. Oliwier odciągnął ją łagodnie i starał się natrzeć balsamem i przewiązać ranę widniejącą na lewej piersi. Tymczasem ojciec powrócił do przytomności. Przestał charczeć, serdecznie spojrzawszy na nią i na Oliwiera, ujął jej rękę, włożył ją w rękę Oliwiera i obie silnie uściśnął. Oboje, ona i Oliwier, upadli na kolana przy łóżku, ojciec zaś z rozdzierającym krzykiem uniósł się nieco w górę, potem zaraz znowu opadł na łóżko i westchnąwszy głęboko wyzionął ducha. Wtedy oboje zaczęli głośno jęczeć i płakać. Oliwier opowiedział, że mistrz w jego obecności został zamordowany w czasie wycieczki nocnej, w której mu na jego rozkaz towarzyszył. Z niezmiernym trudem przyniósł do domu ciężkie ciało, sądząc, że rana nie jest śmiertelna. Skoro nastał dzień, domownicy, którzy już w nocy zauważyli niezwykły hałas, głośny płacz i krzyk, przyszli na górę i zastali oboje stroskanych, klęczących przy łożu zmarłego. Wszczął się zamęt, przybyła policja i Oliwiera, podejrzanego o morderstwo, powleczono do więzienia.

Madelon dodała jeszcze najtkliwszy opis cnót, pobożności i wierności swego ukochanego Oliwiera. Opowiedziała, że Oliwier czcił mistrza jak własnego ojca, a mistrz odwzajemniał mu tę miłość i pomimo ubóstwa wybrał go na swego zięcia, ponieważ jego zręczność w rzemiośle równą była wierności i szlachetnemu usposobieniu. Wszystko to opowiedziała Madelon z największą

szczerością. I gdyby Oliwier w jej obecności wepchnął sztylet w pierś ojca, prędzej uważałaby to za szatańskie złudzenie, niżby mogła uwierzyć, że Oliwier jest zdolny do tak niegodziwej, straszliwej zbrodni.

Panna de Scudéry, wzruszona do głębi niewypowiedzianym cierpieniem młodej Madelon, skłonna uwierzyć w niewinność biednego Oliwiera, zasięgnąwszy wiadomości, przekonała się, że wszystko, co Madelon opowiedziała o stosunkach domowych między mistrzem a jego pomocnikiem, było prawdziwe. Domownicy, sąsiedzi jednogłośnie stawiali Oliwiera jako wzór moralnego, pobożnego, wiernego i pilnego młodzieńca. Nikt nie umiał o nim nic złego powiedzieć, a jednak, skoro zaczynało mówić o zbrodni, wszyscy wzruszali ramionami i sądzili, że jest w tym coś niepojętego.

Oliwier, postawiony przed trybunałem *Chambre Ardente*, zaprzeczył wszystkiemu najbardziej stanowczo; bez żadnego zakłopotania wypierał się spełnienia zarzucanej mu zbrodni. Twierdził, że w jego obecności napadnięto mistrza na ulicy i zamordowano, że go jednak zdołał przywlec żywego do domu, gdzie wkrótce zakończył życie. I to zgadzało się zatem z opowiadaniem biednej Madelon.

Ciągle na nowo kazała sobie panna de Scudéry opowiadać najdrobniejsze szczegóły strasznego wypadku. Badała dokładnie, czy kiedyś nie wynikła jakaś kłótnia między mistrzem a pomocnikiem i czy Oliwier nie miał porywczego usposobienia. Często bowiem porywczność, niby ślepe szaleństwo, unosi najłagodniejszego człowieka i wiedzie do czynów, które wykluczają wszelką wolną wolę działania. Jednak z im większym zapałem mówiła Madelon o spokojnym szczęściu domowym, w którym żyło troje ludzi związanych najściślejszą miłością, tym bardziej znikał nawet cień podejrzenia wobec oskarżonego Oliwiera.

Ścisłe badając każdy szczegół, wychodząc nawet z założenia, że Oliwier mimo wszystko, co głośno przemawiało za jego niewinnością, był jednak mordercą mistrza René Cardillaca, panna de Scudéry nie mogła znaleźć wśród wszelakich możliwości żadnego powodu do tego strasznego czynu, który w rezultacie bądź co bądź musiał zniszczyć szczęście Oliwiera. Był biedny, ale zręczny; udało mu się pozyskać względy najznakomitszego złotnika, kochał jego córkę, mistrz sprzyjał tej miłości, otwierało się przed nim życie pełne szczęścia i dobrobytu. I gdyby rzeczywiście podrażniony w jakiś sposób, uniesiony gniewem, napadł zbrodniczo na swego dobroczyńcę, na swego ojca — to jakże przewrotną musiałby być istotą, aby się tak zachowywać po zbrodni. Przekonana silnie o niewinności Oliwiera, panna de Scudéry postanowiła ocalić nieszczęśliwego młodzieńca za jakąkolwiek cenę.

Zanim jednak zwróciła się z prośbą o łaskę do samego króla, uważała za najstosowniejsze udać się do prezydenta *La Regnie* i zwrócić jego uwagę na wszystkie szczegóły, przemawiające za niewinnością Oliwiera. Spodziewała się, że w ten sposób obudzi w duszy prezydenta przychylność dla oskarżonego, która udzieli się także innym sędziom.

La Regnie przyjął pannę de Scudéry z wielkim szacunkiem, do którego czcigodna dama, poważana przez samego króla, słusznie mogła sobie rościć pretensje. Spokojnie wysłuchał wszystkiego, co opowiadała o strasznym wypadku, o stosunkach Oliwiera z mistrzem i o jego charakterze. Uśmiechał się nieznacznie, prawie ironicznie, jak gdyby dowodząc tym, że obficie poparte łzami zapewnienia panny de Scudéry i jej upomnienia, aby sędzia nie był wrogiem obwinionego, lecz zważał baczenie na wszystko, co na jego korzyść przemawia — nie odbiły się bez wrażenia o jego uszy. A gdy wreszcie panna de Scudéry, zupełnie wyczerpana, umilkła i ocierała łzy, La Regnie rzekł:

— Odpowiada to zupełnie szlachetnym uczuciom pani, że wzruszona łzami młodej, zakochanej dziewczyny, wierzysz we wszystko, co opowiada, a co więcej, nie jesteś, pani, zdolna pojąć motywów tego strasznego występkę. Inaczej jednak patrzy na te sprawy sędzia, przyzwyczajony zdzierać osłony ze śmiałych wykrętów. Nie mogę przed każdym, kto mnie o to zapyta, rozwijać całego przebiegu procesu kryminalnego. Pani! wypełniam obowiązki i mało mnie obchodzi sąd świata. Zbrodniarze powinni drzeć przed Chambre Ardente, nieznającą innej kary prócz krwi i stosu. Ale nie chciałbym, abyś mnie, pani, uważała za potwora surowości i okrucieństwa. Dlatego pozwól, pani, że kilkoma słowami wytłumaczę ci krwawy czyn młodego zbrodniarza, który — niebu niech będą dzięki — nie uniknie kary. Bystry umysł pani sam wtedy zaniecha tej dobroci, która przynosi pani zaszczyt, mnie jednak wcale nie przystoi.

A zatem:

Znaleziono rano mistrza René Cardillaca, zamordowanego pchnięciem sztyletu. Był przy nim tylko jego pomocnik Oliwier Brusson i córka. W pokoju Oliwiera między innymi znaleziono sztylet, splamiony świeżą krwią, odpowiadający dokładnie zadanej ranie. Oliwier twierdzi, że Cardillaca zamordowano w nocy w jego obecności. „Czy chciano go obrabować?” „Tego nie wiem.” „Szedłeś z nim i nie zdołałeś stawić zbrodniarzowi oporu, przytrzymać go, zawołać o pomoc?” „Mistrz szedł piętnaście, może dwadzieścia kroków przede mną; ja postępowalem za nim z dala.” „Ale dlaczego?” „Takie było życzenie mistrza.” „Co w ogóle mógł robić René Cardillac na ulicy o tak późnej godzinie?” „Tego nie wolno mi powiedzieć.” „Przecież zwykle nie wychodził nigdy z domu wieczorem po godzinie dziewiątej?” Tutaj Oliwier milknie, zdradza pomieszenie, wzdycha, płacze, przysięga na wszystko, co święte, że Cardillac rzeczywiście wyszedł owej nocy i został zamordowany. A teraz niech pani pilnie uważa. Stwierdzono z najzupełniejszą pewnością, że Cardillac nie wychodził z domu owej nocy; więc twierdzenie Oliwiera, że rzeczywiście razem z nim wyszedł, jest bezczelnym kłamstwem. Drzwi domu są zaopatrzone w ciężki zamek, przy otwieraniu i zamykaniu powstaje przenikliwy szmer; oprócz tego odrzwia domu poruszają się w zawiasach z przykrym zgrzytem, który, jak sprawdziliśmy sami, nawet na najwyższym piętrze domu rozlega się donośnym echem. Na najniższym piętrze, tuż przy samej bramie, mieszka stary mistrz, nazwiskiem Klaudiusz Patru, ze swoją służącą, która liczy

sobie około osiemdziesięciu lat, ale mimo to jest ochocza i ruchliwa. Obie te osoby słyszały, jak Cardillac owego wieczoru, zgodnie z codziennym zwyczajem, zszedł ze schodów, skoro wybiła dziewiąta, zamknął i zatarasował drzwi z wielkim hałasem, potem wrócił na górę, przeczytał głośno modlitwę wieczorną, a wreszcie, jak można było wnioskować z zamykania drzwi, udał się do sypialni.

Klaudiusz cierpi na bezsenność, jak zwykle starzy ludzie. I owej nocy także nie mógł zmrużyć oka. Dlatego służąca zgasiła światło w kuchni, do której droga prowadzi przez sień domu, poszła do pokoju swego pana, usiadła przy stole z jakąś starą kroniką i zaczęła czytać. Starzec, zagłębiony w myślach, już to siedział na swym wygodnym fotelu, już to wstawał i chodził cicho i powoli tu i tam po pokoju, aby zmęczywszy się móc zasnąć. Aż do północy było cicho i spokojnie. Wtedy usłyszeli nad sobą szybkie, głośne kroki, głuchy łomot, jak gdyby jakiś ciężar runął na ziemię, a zaraz potem stłumione jęki. Oboje opanowała jakaś niezwykła trwoga i zaniepokojenie. Dreszcz strasznego czynu, spełnionego w tej samej chwili, przebiegł ich ciała. Z brzaskiem dnia wystąpiło na jaw to, co się ukrywało w ciemnościach.

— Ale, na wszystkie świętości — przerwała panna de Scudéry — czyż wobec tych wszystkich okoliczności, jakie dopiero co dokładnie przedstawiłam, możesz pan się domyślić, co było powodem tej ohydnej zbrodni?

— Hm — odrzekł la Regnie — Cardillac nie był ubogi, posiadał wspaniałe klejnoty.

— Wszakże wszystko miała odziedziczyć jego córka. Zapominasz pan, że Oliwier miał zostać zięciem Cardillaca.

— Może musiał się podzielić; może tylko dlatego mordował, aby inni odnieśli z tego korzyść — odparł la Regnie.

— Podzielić się, mordować dla korzyści innych? — pytała panna de Scudéry ogromnie zdziwiona.

— Dowiedz się, pani — mówił dalej prezydent — że Oliwier już dawno byłby dał głowę pod topór na Placu de la Grève, gdyby jego zbrodnia nie pozostawała w związku z okrytymi szczelnie tajemnicą czynami, które dotąd groziły ciągle całemu Paryżowi. Oliwier należy niewątpliwie do owej niegodziwej bandy, która szczyła dotąd ze wszystkich trudów, zabiegliwości i poszukiwań trybunałów i umiała bezkarnie, zuchwale przeprowadzać swoje zamiary. Przez jego zeznania wszystko się wyjaśni, musi się wyjaśnić. Rana Cardillaca jest całkiem podobna do ran, które zadały śmierć wszystkim zamordowanym, obrabowywanym na ulicach i w domach. A dalej najważniejsze: odkąd Oliwier Brusson został uwięziony, ustały wszystkie mordy, wszystkie rabunki. Na ulicach panuje zupełne bezpieczeństwo zarówno w nocy, jak w dzień. To już dostateczny dowód, że Oliwier stał może na czele tej bandy. Jeszcze nie chce się przyznać, ale są środki, które zmuszą go do mówienia nawet wbrew jego własnej woli.

— A Madelon! — zawołała panna de Scudéry. — Ta wierna, niewinna istota?

— Któż mi zaręczy — odparł La Regnie z gorzkim uśmiechem — że i ona nie była z nimi w zмовie? Czy zależało jej na życiu ojca? Łzy, jakie wylewa, dotyczą tylko tego nędznika.

— Co pan mówisz?! — krzyknęła panna de Scudéry. — To niemożliwe... ojca... ta dziewczyna!

— O! — mówił dalej La Regnie — przypomnij pani sobie markizę de Brinwilliers! Będziesz mi pani musiała wybaczyć, jeżeli niedługo może, koniecznością zmuszony, wydrę ci dziewczynę, którą się pani opiekujesz, i wtrącę ją do więzienia.

Dreszcz przebiegł pannę de Scudéry na myśl o tym okropnym podejrzeniu. Wydało się jej, że cnota, szczerłość nie mogą się ostać przed tym straszliwym człowiekiem, który w najgłębszych, najskrytszych myślach wietrzy krew i zbrodnie. Powstała.

— Bądź pan ludzkim. — To było wszystko, co mogła wyrzec, strwożona, oddychając ciężko.

Już miała zamiar zejść ze schodów, do których odprowadził ją prezydent z wyszukaną grzecznością, gdy nagle zaświtała jej w głowie szczególna myśl, nie wiadomo jak i skąd.

— Czy mogłabym otrzymać pozwolenie, aby odwiedzić nieszczęśliwego Oliwiera Brusson? — zapytała prezydenta, odwracając się szybko.

La Regnie spojrział na nią z niedowierzaniem, potem na twarzy jego pojawił się właściwy mu odrażający uśmiech.

— Zapewne pragniesz pani — rzekł — sama zbadać winę lub niewinność Oliwiera, ufając więcej swojemu uczuciu, wewnętrznemu głosowi, niż temu, co zaszło przed naszymi oczyma. Jeżeli nie brzydzisz się pani ponurym schronieniem zbrodni, nie wzdrygasz się przed czekającym cię widokiem niegodziwości najrozmaitszego rodzaju, to bramy więzienia otworzą się za dwie godziny przed tobą. Przedstawię pani tego Oliwiera, którego los budzi twoje współczucie.

W istocie, panna de Scudéry nie mogła uwierzyć w winę młodzieńca. Wszystko przemawiało przeciwko niemu, co więcej, żaden sędzia na świecie nie byłby postąpił inaczej niż La Regnie wobec tak silnie obciążających dowodów. Mimo to obraz rodzinnego szczęścia, jaki Madelon żywymi barwami skreśliła przed oczyma panny de Scudéry, zaćmiewał wszystkie podejrzenia. Panna de Scudéry wołała raczej przypuścić jakąś nieprzeniknioną tajemnicę, niż uwierzyć w to, przeciwko czemu buntowała się jej dusza.

Postanowiła prosić Oliwiera, aby jeszcze raz opowiedział jej wszystko, co zaszło owej tajemniczej nocy. Spodziewała się, że uda się jej rozjaśnić tajemnicę, która dlatego może ukrywała się przed oczyma sędziów, że uważali za bezcelowe troszczyć się o jej rozwiązanie.

Kiedy panna de Scudéry przybyła do więzienia, wprowadzono ją do obszernego, jasnego pokoju. Po niedługiej chwili usłyszała brzęk kajdan. Nadchodził Oliwier Brusson. Ale skoro tylko stanął we drzwiach, panna de Scudéry upadła zemdlna na ziemię. Gdy wróciła do przytomności, Oliwiera nie było już w pokoju. Zażądała gwałtownie, aby ją odprowadzono do powozu. Uciec, natychmiast uciec chciała z tego przybytku najwyuzdańszego występku. Ach! od pierwszego spojrzenia poznała w Oliwierze tego samego młodego człowieka, który na Pont Neuf rzucił jej kartkę do powozu, który przyniósł jej szkatułkę z kosztownościami. Teraz znikła już wszelka wątpliwość, potwierdziły się straszne podejrzenia prezydenta la Regnie. Oliwier Brusson należał do tej niegodziwej bandy morderców, bez wątpienia zamordował także mistrza René! A Madelon?!

Tak gorzko nie zawiodła się jeszcze nigdy. Przerażona potęgą piekła na ziemi, zwątpiła we wszystko. Uwierzyła strasznej myśli, że Madelon była w zмовie ze zbrodniarzami, że brała udział w krwawej, strasznej zbrodni. I jak zawsze, gdy duch ludzki, stworzywszy jakiś obraz, szuka skwapliwie barw, aby odmalować go jeszcze jaskrawiej i znajduje te barwy, tak samo panna de Scudéry, rozważając drobiazgowo zachowanie się biednej Madelon, znalazła wiele szczegółów, które podsycaly podejrzenie. Niejedno, co uważała dotąd za dowód niewinności i czystości, wydało się jej teraz nieomylnym znamieniem zbrodniczej złośliwości, obmyślanego wykrętu. Ten żal, rozdzierający serce, te krwawe łzy mógł wycisnąć strach nie o to, że zobaczy śmierć ukochanego, nie, ale że jej własna głowa spadnie pod toporem kata. Panna de Scudéry wysiadła z powozu z silnym postanowieniem, aby węża, którego dotąd pielęgnowała na swym łonie, natychmiast odtrącić od siebie.

Kiedy weszła do pokoju, Madelon rzuciła jej się do nóg. Błękitne oczy — anioły nie mają tak pięknych — utkwiała w pannę de Scudéry, ręce złożyła na falującej gwałtownie piersi, jęczała i głośno błagała o pomoc i pociechę. Panna de Scudéry, z trudem panując nad sobą i starając się mówić głosem poważnym i spokojnym, rzekła:

— Idź... idź... pociesz się, że mordercy nie minie zasłużona kara za jego krwawe zbrodnie! Niech Najświętsza Panna cię broni, aby i na twojej duszy ciężył występki!

— Ach, więc już wszystko stracone! — krzyknęła przeraźliwie Madelon i upadła zemdlna na ziemię.

Panna de Scudéry poleciła służącej zająć się zemdlną i przeszła do innego pokoju.

Z rozdartym sercem, zniechęcona do całego świata, chciałaby nie żyć już dłużej na świecie, tak pełnym szatańskiej złości. Skarżyła się na przeznaczenie, które, jak gdyby szydząc z niej gorzko, pozwoliło jej żyć tak długo i umocnić w sobie wiarę w cnotę i dobro, a teraz w późnym wieku niszczyło piękny obraz, przyświecający jej przez całe życie.

Usłyszała, jak Martinière wyprowadzała Madelon płaczącą i skarżącą się cicho:

— Ach... i ją także... i ją także przeciągnęli na swoją stronę ci okrutni!... O, ja nieszczęśliwa!... Biedny, biedny Oliwier.

Słowa te wdzierały się gwałtownie do duszy panny de Scudéry. Na nowo zaczęło się w niej budzić niejasne przeczucie tajemnicy, wiara w niewinność Oliwiera. Miotana rozmaitymi sprzecznymi uczuciami, odchodząc od zmysłów, zawołała:

— Jakież duch piekielny zaplątał mnie w tę straszną sprawę, która mnie w końcu do śmierci doprowadzi!

W tej samej chwili wszedł Baptysta, zbladły i przerażony donosząc, że Desgrais czeka przed domem. Od ohydneho procesu trucicielki Voisin pojawienie się Desgrais'go w czyimś domu było nieomylnym zwiastunem jakiegoś ciężkiego oskarżenia. Stąd też podchodził strach Baptysty. Widząc to, panna de Scudéry zapytała z łagodnym uśmiechem:

— Co się z tobą dzieje, Baptysto? Nieprawdaż, nazwisko de Scudéry znalazło się także na liście trucicielki?

— Ach, na miłość Boga — odparł Baptysta, drżąc na całym ciele — jak pani możesz mówić coś takiego! Ale Desgrais, ten straszny Desgrais zachowuje się tak tajemniczo, tak natarczywie; wydaje się, że nie może się doczekać chwili, kiedy panią zobaczy.

— Zatem, Baptysto, wprowadź go szybko — rzekła panna de Scudéry. — Wprowadź tego człowieka, który wydaje ci się tak straszny, a który we mnie nie budzi najmniejszej obawy.

— Prezydent La Regnie przysyła mnie tu do pani — rzekł Desgrais, wszedłszy do pokoju — z pewną wielką prośbą. Nie spodziewałby się wcale spełnienia, gdyby nie znał twej cnoty i odwagi, gdyby ostatni środek wydobywania na jaw krwawego czynu nie leżał w twoich rękach, gdybyś, pani, nie była się już w mieszała w ten straszny proces, który trybunałowi i nam wszystkim dech w piersiach zapiera. Oliwier Brusson oszalał prawie, odkąd panią zobaczył. Dawniej skłaniał się już do zeznań, teraz na nowo zaklina się na Boga i wszystkich świętych, że nie jest winien śmierci Cardillaca, aczkolwiek chętnie poniósłby śmierć, na którą i tak zasłużył. Zauważ, zacna pani, że ten ostatni zwrot odnosi się zapewne do innych ciężących na nim zbrodni! Ale na próżno usiłujemy wydobyć z niego choćby jedno słowo więcej, nawet groźba tortury nie odniosła żadnego skutku. Błaga, zaklina nas, abyśmy mu umożliwili rozmowę z panią; tylko pani, tylko pani samej chce wyznać wszystko. Zdecyduj się, zacna pani, wysłuchać Oliwiera Brusson!

— Jak to? — zawołała panna de Scudéry z oburzeniem — więc mam zostać pomocniczką krwawego trybunału, mam zdradzić zaufanie nieszczęśliwego człowieka i zaprowadzić go na rusztowanie? Nie, panie Desgrais, chociażby Brusson był najniegodziwszym zbrodniarzem, nie

mogłabym podejść go tak podstępnie. Nic nie chcę wiedzieć z jego tajemnic, które musiałabym zamknąć w mej piersi, jak święte wyznanie przy spowiedzi.

— Może zmienisz to zapatrywanie, zacna pani — odrzekł Desgrais z niewidocznym prawie uśmiechem — skoro wysłuchasz Oliwiera Brusson. Wszak sama prosiłaś, pani, prezydenta, aby był ludzkim. Czyni temu zadość, godząc się na nieuzasadnione żądanie Brussona, i próbuje ostatnich środków, zanim użyje tortury, która już dawno czeka na niego.

Panną de Scudéry wstrząsnął dreszcz.

— Otóż — ciągnął dalej Desgrais — nikt nie żąda i nie przypuszcza, abyś pani chciała raz jeszcze wejść do tego ponurego przybytku, który napęnia cię przerażeniem i wstrętem. Wśród ciszy nocnej, bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi sprowadzę Oliwiera Brussona do domu pani, jak wolnego człowieka. Nie podsłuchiwany przez nikogo, a mimo to dobrze strzeżony, będzie mógł wyznać pani wszystko bez żadnego przymusu. Że nie potrzebujesz się pani niczego obawiać ze strony tego niegodziwca, za to ręczę moim własnym życiem. Zresztą mówi o pani z głębokim uwielbieniem. Przysięga, że tylko ponure przeznaczenie, które nie pozwoliło mu zobaczyć się wcześniej z panią, wtrąciło go w tę przepaść. A z tego, co Brusson powie, możesz pani przecież powtórzyć to tylko, co ci się będzie podobało. Nikt nie może przymusić pani do niczego.

Panna de Scudéry spuściła oczy i zamyśliła się głęboko. Wydawało się jej, że musi być posłuszna wyższej mocy, która żądała od niej rozwiązania jakiejś ponurej tajemnicy; wydawało się jej, że nie może się już wydobyć z dziwacznych powikłań, w które zaplątała się bez własnej woli. Nagle powzięła postanowienie i rzekła z godnością:

— Bóg da mi siłę i wytrwałość. Przyprawadźcie Oliwiera! Pomówię z nim!

Tak jak wówczas, gdy Brusson przyniósł szkatułkę z klejnotami, o północy zapukano do bramy domu panny de Scudéry. Baptysta, uwiadomiony wcześniej o nocnych odwiedzinach, otworzył drzwi.

Zimny dreszcz przebiegł ciałem panny de Scudéry, skoro z cichych kroków, ze stłumionego szmeru wywnioskowała, że strażnicy, którzy przyprowadzili Brussona, rozchodzą się po kruzgankach domu.

Wreszcie drzwi pokoju otwarły się cicho. Wszedł Desgrais, a za nim Oliwier Brusson, bez więzów, w porządnym ubraniu.

— Oto Brusson! — rzekł Desgrais, skłonił się z uszanowaniem i wyszedł z pokoju.

Brusson upadł przed panią de Scudéry na kolana, podniósł błagalnie złożone ręce, a obfite łzy popłynęły z jego oczu.

Panna de Scudéry pobladła i wpatrywała się w niego, nie mogąc wyrzec ani słowa. Nawet w tych zmienionych, strawionych bólem i troską rysach, na tej twarzy młodzieńczej malował się wyraz dobroci i cnoty. Im dłużej patrzyła na twarz Brussona, tym żywiej wstawało w jej duszy wspomnienie jakiejś drogiej osoby, której nie mogła sobie dokładnie przypomnieć. Zapomniała o wstręcie i

strachu, zapomniała, że klęczy przed nią morderca Cardillaca. Cichym głosem, brzmącym spokojną życzliwością, przemówiła:

— No, Brussonie, co pragniesz mi powiedzieć?

On, ciągle jeszcze klęcząc, westchnął głęboko, boleśnie, i rzekł:

— O moja dobra, moja zacna pani, czyż nawet ślad wspomnienia o mnie nie pozostał w twojej duszy?

Panna de Scudéry, przyglądając mu się uważnie, odpowiedziała, że w istocie znajduje w jego rysach podobieństwo do jakiejś drogiej jej osoby. Tylko temu Oliwier może zawdzięczać, że pokonała wielki wstręt do mordercy i wysłucha go spokojnie. Brusson, dotknięty boleśnie tymi słowami, powstał szybko i utkwivszy w ziemię ponury wzrok, cofnął się. Po chwili rzekł stłumionym głosem:

— Czy zapomniałaś, pani, już całkiem o Annie Guiot? Stoi przed tobą jej syn Oliwier, ten sam, którego jako chłopca tylekroć kołysałaś na kolanach.

— O, Boże! — krzyknęła panna de Scudéry i zakrywając twarz rękami, upadła na poduszki.

Panna de Scudéry nie bez powodu wzruszyła się tak bardzo. Anna Guiot była córką zubożalego mieszczanina. Od najwcześniejszej młodości wychowywała się w domu panny de Scudéry, która jak matka, troskliwie i z miłością, opiekowała się ulubionym dzieckiem. Skoro dziewczyna dorosła, zaczął się starać o jej rękę przystojny, cnotliwy młodzieniec, nazwiskiem Klaudiusz Brusson. Ponieważ był zręcznym zegarmistrzem i łatwo mógł znaleźć chleb i zarobek w Paryżu, a Anna kochała go także serdecznie, panna de Scudéry nie namyślała się długo, lecz chętnie zgodziła się wydać za mąż swą wychowankę. Młodzi ludzie urządzili sobie przyjemne mieszkanie, żyli spokojnie i szczęśliwie, a łączący ich węzeł zacisnął się jeszcze silniej, gdy przyszedł na świat przepiękny chłopiec, wierny portret uroczej matki.

Panna de Scudéry ubóstwiała małego Oliwiera. Na długie godziny, na dnie całe wydzieraała go matce, aby go pieścić i bawić. Chłopiec przyzwyczaił się do niej bardzo i równie chętnie przebywał w jej domu, jak u matki. Po trzech latach jednak stosunki się zmieniły. Zazdrość towarzyszków pracy doprowadziła Brussona do nędzy, roboty mniej było z dniem każdym; wreszcie zaledwie mógł wyżywić siebie i rodzinę. Do nędzy przyłączyła się jeszcze tęsknota za piękną Genewą, rodzinnym miastem. Mała rodzina przeniosła się tam wreszcie, chociaż panna de Scudéry sprzeciwiała się żywo temu projektowi i przyrzekała wszelką możliwą pomoc. Kilkakrotnie Anna pisała jeszcze do swej opiekunki, potem umilkła; panna de Scudéry musiała pogodzić się z myślą, że szczęśliwe życie w ojczyźnie Brussona zatarło wspomnienie chwil dawniej przeżytych.

Teraz właśnie minęło dwadzieścia trzy lata, odkąd Brusson z żoną i dzieckiem opuścił Paryż i wyjechał do Genewy.

— O, jakie to straszne! — zawołała panna de Scudéry, ochłonawszy nieco. — Więc to ty jesteś, Oliwierze?... ty, syn mojej Anny?... teraz?!...

— Tak, czcigodna pani — odpowiedział Oliwier spokojnie i stanowczo — nie mogłaś się zapewne spodziewać, że chłopiec, którego pieściłaś jak najtroskliwsza matka, którego kołysałaś na kolanach, karmiąc ustawicznie łakociami, którego wołałaś najśłodszymi imionami, że ten sam chłopiec, gdy wyrośnie na młodzieńca, stanie przed tobą oskarżony o krwawą zbrodnię. Nie jestem wolnym od winy. *Chambre Ardente* słusznie może mnie pociągać do odpowiedzialności za występki. Ale jak pragnę zbawienia, chociażbym nawet miał zginąć z ręki kata, nie ciąży na mnie krew; nie z moich rąk, nie z mojej winy zginął nieszczęsny Cardillac.

Oliwier, wypowiedziawszy te słowa, zaczął drżeć i zachwiał się. Panna de Scudéry w milczeniu wskazała mu niskie krzesło, które stało obok. Powoli usiadł.

— Miałem dość czasu — zaczął mówić — by przygotować się do tej rozmowy, którą uważam za najwyższą łaskę miłosiernego Boga. Uspokoilem się i opanowałem dostatecznie, aby opowiedzieć pani historię mojego strasznego, niewysłowionego nieszczęścia. Zrób mi pani tę łaskę i wysłuchaj spokojnie, aczkolwiek odkrycie tajemnicy, której z pewnością nie przeczuwałaś, przerazi cię i napełni wstrętem!

O, gdyby mój biedny ojciec nie był nigdy opuszczał Paryża! Jak daleko sięgają moje wspomnienia z Genewy, przypominam sobie, że płakałem prawie ciągle, wskutek ciągłego smutku stroskanych rodziców, którego przyczyny nie pojmowałem wówczas. Później odczuwałem już i rozumiałem dokładnie ten dotkliwy brak, tę głęboką nędzę, w jakiej żyli moi rodzice. Wszystkie nadzieje zawiodły mojego ojca. Przygnieciony, udrczony smutkiem, umarł w tejże samej chwili, gdy udało mu się znaleźć mi miejsce u złotnika. Matka zawsze mówiła wiele o pani, nieraz chciała się przed panią uskarżyć, ale potem znowu nędza odbierała jej otuchę. To, a także fałszywy wstyd, który nieraz dręczy zranione dusze, powstrzymywały ją od tego zamiaru. W kilka miesięcy po śmierci ojca i ona poszła do grobu.

— Biedna, biedna Anna! — zawołała panna de Scudéry, pogrążona w smutku.

— Chwała i dzięki niech będą wiecznej potędze nieba, że już umarła i nie zobaczy pod toporem kata głowy ukochanego syna, napiętnowanej hańbą! — krzyknął głośno Oliwier, rzucając dokoła dzikie spojrzenia.

Na zewnątrz pokoju odezwał się niespokojny szmer, słychać było kroki i tu, i tam.

— Ho, ho! — rzekł Oliwier z gorzkim uśmiechem — *Desgrais* budzi swoich pacholków, jak gdybym mógł stąd uciec! Lecz słuchaj pani dalej! Mistrz mój obchodził się ze mną szorstko, chociaż pracowałem ze wszystkich sił, a w końcu przewyższyłem go nawet znacznie w doskonałości. Zdarzyło się, że kiedyś przyszedł do naszej pracowni pewien cudzoziemiec, aby kupić jakieś klejnoty. Skoro zobaczył piękny naszyjnik mojej roboty, poklepał mnie z zadowoleniem po plecach i spoglądając na klejnoty rzekł: „Ej, ej, mój młody

przyjacielu, to znakomita robota. Nie wiem, czy ktoś mógłby ci dorównać, prócz René Cardillaca, który bez wątpienia jest najlepszym złotnikiem świata. Do niego powinien byś się udać; z chęcią przyjąłby cię do swego warsztatu, mógłbyś mu dopomóc w niejednej kunsztownej robocie, a i niemało się od niego nauczyć.” Słowa cudzoziemca utkwiły mi głęboko w duszy. Nie mogłem się uspokoić, coś przemocą ciągnęło mnie w dal. Wreszcie udało mi się uwolnić od dotychczasowego mistrza.

Przybyłem do Paryża. René Cardillac przyjął mnie chłodno i szorstko. Nie zrażałem się tym; prosiłem, aby mi dał jakąkolwiek pracę, chociażby najmniej znaczną. Kazał mi zrobić mały pierścionek. Gdy go wykończyłem i odniosłem, spojrział na mnie płomiennymi oczyma, jak gdyby chciał mnie przejrzeć do wnętrza. Potem rzekł:

„Jesteś dobrym, dzielnym pracownikiem. Możesz się wprowadzić do mnie i pomagać mi w pracy. Zapłacę ci sownie, będziesz zadowolony.”

Cardillac dotrzymał słowa.

Przez kilka tygodni już byłem w jego domu, a nie widziałem jeszcze Madelon, która przebywała wówczas, jeśli się nie mylę, na wsi u jakiejś ciotki Cardillaca. Nareszcie przybyła. O, wieczna potęgo nieba! co się ze mną działo, skoro ujrzałem tego anioła! Czy kiedykolwiek jakiś człowiek kochał tak bardzo jak ja?... A teraz... O Madelon!

Oliwier nie mógł dalej mówić ze wzruszenia. Obiema rękami zakrył twarz i szlochał gwałtownie. Po chwili dopiero pokonał straszną boleść, która go nagle opanowała i mówił dalej:

— Madelon patrzyła na mnie łaskawym okiem. Coraz częściej poczęła przychodzić do pracowni. Z zachwytem spostrzegłem, że mnie kocha. Chociaż ojciec bacznie nas śledził, niejedno skryte uściśnięcie dłoni było dowodem zawartego związku serc. Zdawało się, że Cardillac nie domyśla się niczego. Zamierzałem pozyskać najpierw jego względy, a potem, po uzyskaniu świadectwa mistrzowskiego, oświadczyć się o jej rękę.

Pewnego dnia, kiedy miałem zabrać się do pracy, stanął Cardillac przede mną z gniewem i pogardą w oku.

„Nie potrzebuję więcej twojej pracy — rzekł — precz z mego domu w tej chwili i nie pokazuj mi się nigdy więcej na oczy! Nie potrzebuję ci chyba mówić, dlaczego nie mogę cię dłużej znosić. Dla ciebie, marnego nędzarza, za wysoko ten owoc, po który sięgasz.”

Chciałem odpowiedzieć, ale chwycił mnie silnie i wyrzucił za drzwi tak, że upadłem i zraniłem głowę i ramię. Wzburzony, z sercem rozdartym, wyszedłem z domu i znalazłem wreszcie na najdalszym końcu przedmieścia Saint-Martin dobrego przyjaciela, który mnie przyjął na swe poddasze.

Nie miałem spokoju ni wytchnienia. W nocy krążyłem koło domu Cardillaca, spodziewając się, że Madelon usłyszy moje skargi i westchnienia, że może uda mi się pomówić z nią przez okno. Najrozmaitsze zuchwałę plany

krzyżowały się w moim umyśle, a spodziewałem się, że potrafię ją namówić do wykonania ich.

Do domu Cardillaca na ulicy Nicaise przytyka wysoki mur z niszami, we wnętrzu których są umieszczone stare, na wpół zniszczone posągi kamienne. Pewnej nocy stoję tuż przy jednym z tych posągów i patrzę w okna, które wychodzą na podwórze, właśnie tym murem zamknięte. Wtem spostrzegam światło w pracowni Cardillaca. Jest północ — nigdy jeszcze Cardillac nie czuwał o tej godzinie; zawsze z uderzeniem godziny dziewiątej udawał się na spoczynek. Serce moje drgnęło niejasnym przecuciem, przypuszczałem, że zaszedł jakiś wypadek, który może ułatwi mi wstęp do domu.

Wtem światło znika znowu. Wciskam się we framugę, przysuwam do posągu, nagle jednak odskakuję przestraszony, czując nacisk ze strony przeciwnej, jak gdyby posąg ożył. W mroku nocnym dostrzegam, że kamień obraca się powoli, spoza niego wymyka się jakaś ponura postać i cichymi krokami idzie przez ulicę. Dobiegam do posągu — stoi jak przedtem, tuż przy samym murze. Nieświadomie, jakby pchany jakąś tajemną mocą, skradam się za idącą przede mną postacią. Pod obrazem Matki Boskiej odwraca się; pełny blask lampy, płonącej przed obrazem, pada na jego twarz. To Cardillac! Ogarnia mnie jakaś niepojęta trwoga, tajemne przecucie. Jak gdyby pozbawiony woli czarodziejskim zaklęciem, muszę iść dalej, coraz dalej, za tym upiornym wędrowcem. Bo uważałem wówczas mistrza Cardillaca za lunatyka, aczkolwiek księżyc, który zwykle oszołamia i wiedzie za sobą śpiących, nie był w pełni. Wreszcie Cardillac znika w głębokich ciemnościach. Słyszając ciche, znane mi pochrząkiwanie, wnioskuję, że wszedł do bramy domu. „Co to ma znaczyć? co zamierza uczynić?” — zapytuję sam siebie, pełen zdziwienia i czaję się pod murem domu.

Po niedługiej chwili, śpiewając i pogwizdując, zbliża się jakiś człowiek z błyszczącym pióropuszem, z brzęczącymi ostrogami. Cardillac wypada na niego ze swej kryjówki, jak tygrys na łup, i w tej samej chwili przechodzący charcząc pada na ziemię. Podbiegam ku niemu z okrzykiem przerażenia; Cardillac pochyla się nad leżącym na ziemi. „Co robisz, mistrzu Cardillac?” — wołam głośno. „Przekleństwo!” — krzyczy Cardillac, odbiega z szybkością błyskawicy i znika w ciemności.

Prawie bez zmysłów, zaledwie mogąc postąpić naprzód, zbliżam się do trupa i pochylam się nad nim. Może — myślę — można go jeszcze uratować. Ale nie mogę znaleźć ani śladu życia. Przerażony śmiertelnie, nie spostrzegłem nawet, że tymczasem otoczyła mnie policja konna. „Znowu kogoś zabili! He, he! młodzieńcze, co tu robisz? Może także należysz do tej bandy? Pójdź no ptaszku!”

Takie pomieszane okrzyki brzmiały koło mnie, wreszcie strażnicy pochwycili mnie. Ledwie mogłem wyjąkać, że nie byłbym zdolny do tak ohydnej zbrodni i że powinni puścić mnie spokojnie. Wtem jeden z nich przybliży światło do mojej twarzy i woła wesoło: „Wszak to Oliwier Brusson,

złotnik, pomocnik naszego dzielnego i zacnego mistrza René Cardillaca. Czyżby on mordował ludzi na ulicach? Zupełnie na to wygląda. To właśnie obyczaj morderców, że jęczą nad trupem zamordowanego i pozwalają się schwytać! No, opowiedz, chłopcze, jak się to stało? Mów prędko i śmiało!” „Tuż przede mną — odpowiadam — rzucił się na niego jakiś człowiek i powalił go na ziemię, a kiedy krzyknąłem, uciekł z błyskawiczną szybkością. Chciałem się przekonać, czy nie można by uratować napadniętego”. „Nie, mój synu — rzekł jeden z tych, którzy podnieśli zwłoki — on już nie żyje. Sztylet przebił samo serce, tak jak zawsze.” „Do diabła — rzekł inny — przyszliśmy znowu za późno, jak przedwczoraj.” Po tych słowach oddalili się, zabierając trupa.

Nie potrafię opowiedzieć, co się ze mną działo. Zdało mi się, że lada chwila się przebudzę i sam będę się dziwić tej szalonej mrzonce. Jak to? Cardillac, ojciec mojej drogiej Madelon, ohydny zbrodniarzem! Bez sił upadłem na kamienne schody domu. Świt coraz bardziej rozjaśniał mroki. Przede mną na kamieniach leżał kapelusz oficerski, bogato ozdobiony piórami. Przypomnił mi się dokładnie krwawy czyn Cardillaca, spełniony na tym samym miejscu, gdzie siedziałem. Miotany przestraczem uciekłem stamtąd.

Dręczony najrozmaitszymi myślami, prawie obłąkany, siedziałem w mojej izdebce na poddaszu. Nagle drzwi się otwierają i wchodzi René Cardillac. „Na miłość Boską! Czego chcesz tutaj?” — krzyczę, widząc go. On, nie zważając na to, podchodzi ku mnie uśmiechnięty, ze spokojem i uprzejmością, która powiększyła jeszcze mój wewnętrzny wstręt ku niemu. Przysuwa sobie stare, połamane krzesło, siada na nim, a ja nie zdołałem się nawet podnieść z barłogu, na którym leżałem. „Cóż, Oliwierze — mówi — jak ci się powodzi, mój biedny chłopcze? W istocie obszedłem się z tobą niewłaściwie, wypędzając cię z domu. Ciągle mi ciebie brakuje. Mam teraz pracę, której nie mogę wykończyć bez twojej pomocy. I cóż? Nie miałbyś ochoty powrócić do mojej pracowni? Milczysz? Tak, wiem, że cię obraziłem. Nie potrzebuję ukrywać przed tobą, że rozgniewałem się na ciebie za miłostki z moją córką. Ale później rozmyśliłem się i nabrałem przekonania, że wobec twojej zręczności i pilności nie mogę sobie życzyć lepszego od ciebie zięcia. Chodź więc ze mną i staraj się pozyskać względy i rękę mojej Madelon!” Słowa Cardillaca raniły mi serce. Wzdrygnąłem się przed jego złością, nie mogłem słowa wymówić. „Ociągasz się? — zaczął mówić ostrym tonem, przesywając mnie spojrzeniem. — Ociągasz się? Może musisz dzisiaj jeszcze inne sprawy załatwić i dlatego nie możesz iść ze mną. Może chcesz odwiedzić Desgrais'go albo żądać posłuchania u d'Argensona lub La Regnie'go. Uważaj, chłopcze, żeby pazury, które chcesz wyciągnąć na zgubę innych ludzi, nie pochwyciły i nie rozdarły ciebie samego!” Wtedy dopiero wybuchło moje wzburzone uczucie: „Tylko ty sam — zawołałem — spełniwszy tak straszne czyny, powinieneś się obawiać tych nazwisk, które wymieniłeś! Ja tego nie potrzebuję, mnie one nic nie obchodzą.” „Właściwie, Oliwierze — mówił dalej Cardillac — jest zaszczytem dla ciebie, że pracujesz u mnie, najślawniejszego mistrza dzisiejszych czasów. A przy tym

powszechnie szanują mnie z powodu prawości i cnoty, więc każde podłe oszczerstwo spadłoby ciężko na głowę samego oszczercy. A co się tyczy Madelon, muszę ci wyznać, że jej tylko zawdzięczasz moje ustępstwa. Kocha cię z gwałtownością, jakiej nie mogłem nawet przypuścić, znając jej delikatną naturę. Skoro tylko odszedłeś, rzuciła mi się do nóg, objęła za kolana i zalewając się łzami, wyznała, że nie może żyć bez ciebie. Myślałem zrazu, że tylko wmawia w siebie miłość, jak to zwykle młode dziewczęta, które zaraz chcą umierać, gdy jakiś gołowąs mile na nie spojrzy. Ale w istocie Madelon przybladła, rozchorowała się, a kiedy starałem się wytłumaczyć jej to szaleństwo, tysiącrotnie powtarzała jako odpowiedź twoje imię. Cóż więc miałem uczynić, aby zapobiec jej rozpaczom? Wczoraj w nocy przyrzekłem jej, że zgadzam się na wszystko i że dzisiaj cię przyprowadzę. Dowiedziawszy się o tym, przez jedną noc rozkwitła jak róża i czeka teraz na ciebie, dręczona miłosną tęsknotą.” Niech wieczysta potęga niebios przebaczy mi to, co zrobiłem. Sam nie wiem, jakim sposobem znalazłem się nagle w domu Cardillaca, a Madelon powitała mnie głośnymi okrzykami radości: „Oliwier — mój Oliwier — mój kochanek — mąż, mąż!”, rzuciła mi się na szyję, objęła ramionami, przycisnęła silnie do piersi. Uniesiony nadmiarem szczęścia, przysięgłem na Najświętszą Pannę i na wszystkich świętych, że jej nigdy, nigdy nie opuszczę!

Oliwier zamilkł, wzruszony wspomnieniem tych rozstrzygających chwil życia. Panna de Scudéry, oburzona zbrodnią człowieka, którego uważała za wzór cnoty i prawości, wykrzyknęła:

— Jakie to straszne! Więc René Cardillac należy do bandy, która nasze spokojne miasto zmieniła w jaskinię rabunku?

— O jakiej bandzie mówisz, pani? — zapytał Oliwier. — Nigdy nie istniała żadna banda. To sam René Cardillac, niestrudzony w zbrodniczej działalności, w całym mieście szukał ofiar i umiał je znaleźć. Tego, że to on sam był tylko, dowodzi pewność, z jaką przeprowadzał swe niegodne plany, dowodzi ta straszna trudność wykrycia jakiegokolwiek śladu zbrodniarza. Ale pozwól mi, pani, mówić dalej; przebieg opowiadania wyjaśni ci tajemnicę najniegodziwszego a zarazem najniešťczęśliwszego z ludzi.

Każdy łatwo może sobie wyobrazić moje położenie, skoro powróciłem do mistrza. Stało się; nie mogłem się cofnąć. Chwilami wydawało mi się, że sam zostałem współnikiem morderstw Cardillaca, tylko miłość ukochanej Madelon pozwalała mi zapomnieć o wewnętrznych wyrzutach, które mnie ustawicznie dręczyły, tylko przy niej udawało mi się zatrzeć zewnętrzne ślady bezmiernego cierpienia. Gdy pracowałem z Cardillakiem w jednym pokoju, nie mogłem mu spojrzeć w oczy, ledwie mogłem wyrzec jakieś słowo; wstrząsała mną groza w pobliżu tego człowieka, który pozornie spełniał wszystkie obowiązki wiernego, troskliwego ojca i zacnego obywatela, a w ciemnościach nocy ukrywał takie występki. Madelon, to pobożne, anielskie dziecko, ubóstwiała go i była do niego ogromnie przywiązana. Dreszcz przenikał moje serce na myśl, że biedna Madelon stanie się łupem najstraszniejszej rozpaczom, gdy kiedyś niegodziwego

zbrodniarza spotka zasłużona kara. Już to samo zamykało mi usta, chociażbym nawet miał za to jako zbrodniarz odpokutować śmiercią.

Aczkolwiek z uwag policji wiele mogłem wywnioskować, zbrodnie Cardillaca, ich przyczyna i sposób, w jaki je popełniał, były dla mnie zagadką. Niedługo potrzebowałem czekać na jej rozwiązanie.

Pewnego dnia Cardillac przyszedł do pracy bardzo poważny i zagłębiony w myślach, aczkolwiek zwykle miał najlepszy humor, śmiał się i żartował, czym potęgował jeszcze mój wstręt. Nagle odrzucił na bok klejnot, nad którym pracował — kamienie i perły rozsypały się na wszystkie strony — a potem zerwał się gwałtownie i rzekł: „Słuchaj, Oliwierze, takie stosunki nie mogą dłużej między nami panować. Nie potrafię tego dłużej znosić. Czego nie mogła osiągnąć najpodstępniejsza chytryść Desgrais'go i jego pacholków, to ślepy przypadek oddał tobie w ręce. Ujrzałeś mnie przy mojej nocnej pracy, do której pcha mnie moja zła gwiazda. Nie mogę się oprzeć. Twoja zła gwiazda powiodła cię w moje ślady, otuliła cię nieprzejrzystą zasłoną, dała lekkość i cichość twym stopom, że szedłeś niedosłyszalnie, prawie jak nie istniejąca istota. Twoja zła gwiazda sprawiła, że nie dostrzegłem cię, chociaż wśród najciemniejszej nocy widzę bystro jak tygrys, chociaż z daleka słyszę na ulicach każdy najmniejszy szmer, brzęk muchy niemal. Twoja zła gwiazda sprowadziła cię do mnie jako mojego współnika. Nie potrzebuję się obawiać zdrady z twojej strony wobec tego, co się stało. Dowiedz się zatem o wszystkim.” „Nigdy, przenigdy nie zostanę twoim współnikiem, obłudny zbrodniarzu!” — chciałem zawołać, ale zgroza, jaką przejęły mnie słowa Cardillaca, zacisnęła mi gardło i nie pozwoliła wymówić ani słowa. Zamiast słów wydobył się z mej piersi tylko jęk niezrozumiały. Cardillac usiadł znowu na krześle. Otarł pot z czoła.

Wydawało się, że tylko z trudem może się opanować, poruszony do głębi wspomnieniami przeszłości. Wreszcie zaczął opowiadać:

„Uczeni mówią wiele o szczególnych wrażeniach, jakim mogą ulegać kobiety przy nadziei, i o czarodziejskim wpływie takiego silnego, nieświadomego wrażenia na potomstwo. O mojej matce opowiadano mi niezwykłą historię. Nim przyszedłem na świat, matka moja, będąc w ciąży, przyglądała się wraz z wielu innymi kobietami świętej uroczystości dworskiej, urządzonej w Trianon. Wtem wzrok jej padł na młodzieńca w hiszpańskim stroju, ze wspaniałym, błyszczącym łańcuchem z klejnotów na szyi. Nie mogła od niego odwrócić oczu. Całą jej istotę przeniknęło pożądanie tych błyszczących kamieni, które wydały się jej nadziemskim dobrem. Tenże młodzieniec przed wielu laty, gdy moja matka nie była jeszcze zamężna, nastawał na jej cnotę, ale ze wstrętem został odepchnięty. Matka moja poznała go, ale teraz w blasku lśniących diamentów wydał jej się istotą nadziemską, kwintesencją wszelkiej piękności. Kawaler dostrzegł pożądliwe, ogniste spojrzenia mej matki. Sądził, że teraz będzie mieć więcej szczęścia niż poprzednio. Udało mu się zbliżyć do niej, co więcej, odciągnąć ją od znajomych i zwabić w ustronne miejsce. Tam namiętnie zamknął ją w ramionach, moja

matka chwyciła za piękny łańcuch, ale w tejże chwili młodzieniec zachwiał się i upadł na ziemię, pociągając ją za sobą. Nie wiadomo, co mu się stało, jaka była tego przyczyna — padł nieżywy. Daremne były wysiłki mej matki, by się ze śmiertelnego uścisku zeszywniałych ramion trupa wyzwolić. Z utkwionym w nią pustym, pozbawionym wyrazu spojrzeniem zmarły toczył się z nią po ziemi. Przeróżliwy krzyk matki zwabił wreszcie z dali przechodniów, którzy wyzwolili ją z rąk okropnego kochanka.

Przestrach powalił matkę na łożo ciężkiej choroby. Wróźono i jej, i mnie śmierć; wyzdrowiała jednak, poród był szczęśliwszy, niż można się było spodziewać. Ale przestrach owej strasznej chwili odbił się na mnie. Wzeszła moja zła gwiazda i rzuciła skry, które rozpały we mnie dziwaczne i zbrodnicze namiętności. Już od najwcześniejszych lat dziecinnych podobały mi się nad wszystko błyszczące kamienie i złoto. Uważano to za zwykły pociąg dziecięcy. Ale z czasem okazało się, że to co innego. Jako chłopiec kradłem klejnoty i złoto, gdzie tylko mogłem je pochwycić. Jak najbardziej wprawny znawca rozróżniałem instynktownie fałszywe klejnoty od prawdziwych. Tylko prawdziwe pociągały mnie ku sobie, na sztuczne złoto i kamienie nie zwracałem wcale uwagi. Wrodzoną moją żądzę musiałem ukryć przed najsurowszymi karami ojca; aby więc bez przeszkody mieć ciągle do czynienia ze złotem i klejnotami, wstąpiłem na naukę do złotnika. Pracowałem z zapalem i wkrótce stałem się pierwszym mistrzem w tym zawodzie.

Wtedy zaczął się okres, w którym wrodzony popęd, tłumiony tak długo, wybuchnął wreszcie z całą gwałtownością i ustawicznie się zwiększał, zabijając wszystkie inne uczucia. Ilekroć wykończyłem i oddałem jakiś klejnot, opanowywał mnie niepokój, bezmierny smutek, odbierający mi sen, zdrowie, chęć do życia. Jak upiór stawała mi przed oczyma w dzień i w nocy osoba, dla której pracę wykonałem, ozdobiona moimi kosztownościami. Jakiś głos piekielny szeptał mi ciągle do ucha: To twoje, twoje, odbierz! Na co się zdadzą klejnoty umarłemu. Zacząłem kraść. Miałem wolny wstęp do domów magnackich. Korzystałem z każdej sposobności, żaden zamek nie mógł się oprzeć mojej zręczności, w przeciągu kilku chwil odzyskiwałem klejnot przeze mnie zrobiony.

Ale i to nie wystarczało, aby rozproszyć mój niepokój. Słyszałem ciągle ów tajemniczy głos, jak szydził ze mnie i wołał: Ho, ho! umarły nosi twoje klejnoty! Nie wiem, jak do tego doszło, ale zacząłem z czasem bezgranicznie nienawidzić każdego człowieka, dla którego wykonałem jakąś pracę. Tak. Wówczas już w najtajniejszych głębiach serca rodziła się z wolna ta żądza mordu, która mnie samego przeraża.

W owym czasie kupiłem ten dom. Po długim targu zgodziłem się na naznaczoną cenę, siedzieliśmy tutaj obaj z właścicielem, uradowani przeprowadzonym interesem, i piliśmy razem wino. Nadeszła noc, chciałem już odejść, gdy dawny właściciel domu rzekł:

— Mistrzu René, zanim pan odejdzie, muszę panu pokazać tajemnicę tego domu. — Mówiąc to, otworzył szafę w murze, odsunął tylną ścianę, a gdy weszliśmy do małego pokoiku, schylił się i otworzył małe, skryte drzwi. Zeszliśmy po wąskich, stromych schodach do bramki. Mój przewodnik otworzył ją i wyprowadził mnie na podwórze. Następnie podszedł do muru, przesunął nieznacznie tylko wystające żelazo, a w tej samej chwili obrócił się kawałek muru, otwierając przejście, przez które człowiek mógł wygodnie przesunąć się na ulicę. Możesz sam obejrzyć kiedyś to dowcipne urządzenie. Prawdopodobnie przebiegli mnisi klasztoru, który tu się niegdyś znajdował, kazali je sporządzić, aby móc się potajemnie wślizgiwać i wślizgiwać. Jest to kawałek drzewa, z zewnątrz tylko otynkowany i pobielony, z drugiej strony wprawiono w niego posąg, także drewniany, ale wyglądający zupełnie jak z kamienia. I kłoda, i posąg obracają się na ukrytych zawiasach.

Kiedy zobaczyłem to urządzenie, w duszy mojej zrodziły się ponure myśli, zdawało mi się, że wszystko to jest przygotowane tylko w tym celu, aby ułatwić mi jakieś czyny, które dla mnie samego były jeszcze tajemnicą. Właśnie dla pewnego pana ze dworu wykończyłem i oddałem bogate ozdoby, które — wiedziałem o tym — były przeznaczone dla pewnej tancerki z opery. Śmiertelna męka nie ominęła mnie, upiór deptał mi po piętach, zły duch szeptał mi w ucho.

Wprowadziłem się do mojego nowego domu. Zlany krwawym potem, wilem się bezsennie na łóżku. Oczyma duszy widziałem go, idącego z moimi klejnotami do tancerki. Nagle, dysząc wściekłością, zerwałem się, narzuciłem płaszcz, zeszedłem po tajemnych schodach, przez mur wydostałem się na ulicę Nicaise. On nadchodzi, rzucam się na niego, chwyciwszy go silnie z tyłu, wbijam mu sztylet w serce, klejnoty są moje, moje! Kiedy to uczyniłem, uczułem w duszy tak wielki spokój i zadowolenie, jak nigdy przedtem. Znikł dręczący mnie upiór, zamilkł głos szatana. Teraz wiedziałem, że tak chciała moja zła gwiazda, że musiałem iść za tym popędem lub zginąć.

Zrozumiesz teraz, Oliwierze, całe moje postępowanie. Nie sądzę, że z powodu mojego zbrodniczego popędu, którego stłumić nie mogę, wyzbył się uczucia litości i miłosierdzia, wrodzonego każdemu człowiekowi. Wiesz, jak mi trudno oddać ukończoną pracę; dla wielu ludzi, których śmierci nie pragnę, nie chcę wcale pracować, niejednego powalam tylko na ziemię uderzeniem pięści i zabieram klejnoty, czując, że następnego dnia krew zabitego dręczyłaby moją duszę.”

Opowiedziawszy to wszystko, Cardillac zaprowadził mnie do tajemnej kryjówki i pokazał mi wszystkie swoje klejnoty. Król nie posiada wspanialszych. Przy każdej kosztowności była przyczepiona mała kartka, opisująca, dla kogo klejnot został wykonany, gdzie i jak, czy przez kradzież, rabunek czy morderstwo odebrał go Cardillac.

”W dniu twego ślubu — rzekł głucho i uroczyście Cardillac — złożysz najświętszą przysięgę, z ręką na wizerunku Ukrzyżowanego, że po mojej śmierci zniszczysz, w pył obrócisz wszystkie te bogactwa za pomocą środków,

jakie ci potem wskażę. Nie chcę, aby ten skarb, krwią okupiony, dostał się w ręce ludzkie, tym mniej zaś w twoje lub mojej córki.”

Uwięziony w tym labiryncie zbrodni, miotany miłością i wstrętem, rozkoszą i grozą, podobien byłem człowiekowi potępionemu, którego niebiański anioł z łagodnym uśmiechem wabi ku sobie skinieniem, ale szatan trzyma go silnie w rozżarzonych pazurach i przez to wdzięk anioła, kryjący całą dobroć niebiańską, staje się dlań najstraszniejszą męczarnią. Myślałem o ucieczce... nawet o samobójstwie... ale Madelon!... O gań mnie, gań, zacna pani, że byłem za słaby, aby przemocą zwalczyć namiętność, wiążącą mnie z występkiem. Ale czyż nie odpokutuję za to haniebną śmiercią?

Pewnego dnia Cardillac wrócił do domu niezwykle wesoły. Pieścił córkę, darzył mnie łaskawymi spojrzeniami, wypił podczas obiadu flaszkę doskonałego wina, co zwykł był czynić tylko w wielkie uroczystości i święta, podśpiewywał, radował się, Madelon odeszła, ja chciałem także wrócić do pracowni. „Siedź, chłopcze! — zawołał — dzisiaj nie będziemy już pracowali. Wypijmy jeszcze jedną flaszkę za zdrowie najczcigodniejszej, najzacniejszej damy w Paryżu!” A kiedy trącił się ze mną i wychylił pełny puchar wina, rzekł: „Powiedz no, Oliwierze, jak Ci się podobają te wersy: *Un amant, qui craint les voleurs, n'est point digne d'amour!*”

Opowiedział mi, co zaszło w komnatach markizy Maintenon między panią a królem. Dodał, że uwielbiał panią od dawna tak, jak żadną inną ludzką istotę, i zakończył wreszcie słowami, że gdybyś pani nosiła najwspanialsze nawet przez niego zrobione klejnoty, nigdy nie obudziłoby to zbrodniczych zamysłów w jego duszy, bo wobec twojej wielkiej cnoty musi bezsilnie zagasnąć każda zła gwiazda.

„Posłuchaj, Oliwierze — powiedział — co postanowiłem! Już dawno temu wykonałem naszyjnik i bransolety dla księżniczki Henryki angielskiej. Sam dobrałem do nich klejnoty. Praca powiodła mi się znakomicie, ale serce mi się krajało na myśl, że muszę się rozłączyć z klejnotami, które stały się dla mnie najukochańszym skarbem. Przypominasz też sobie nieszczęśliwą śmierć księżniczki przez skrytobójstwo. Zachowałem klejnoty u siebie, a teraz zamierzam je posłać pannie de Scudéry, jako oznakę mojego szacunku dla niej, mojej wdzięczności, imieniem tropionej bandy zbrodniarzy. Panna de Scudéry otrzyma wymowny znak swego triumfu, równocześnie zadrwię z Desgrais'go i jego pacholków, jak na to zasługują. Ty zanieś je te klejnoty.”

Gdy Cardillac wymówił twoje nazwisko, zacna pani, zdało mi się, że nagle rozsuwają się czarne zasłony, a piękny, jasny obraz mojego szczęśliwego dzieciństwa staje mi żywo w tęczy, błyszczących barwach przed oczyma. Na duszę moją spłynęła czarodziejska pociecha, błysk nadziei, przed którym umknęły i znikły ponure duchy. Cardillac dostrzegł widocznie wrażenie, jakie wywarły na mnie jego słowa, i wytłumaczył je sobie na swój sposób. „Jak się zdaje — rzekł — podoba ci się mój zamysł. Przyznam się szczerze: rozkazał mi to uczynić jakiś głęboki głos wewnętrzny, całkiem różny od tego, który jak

nienasycone drapieżne zwierzę wciąż domaga się krwawych ofiar. Czasem nachodzi mnie dziwne uczucie, ogarnia mnie gwałtownie jakaś trwoga wewnętrzna, bojaźń przed czymś straszliwym, przebiega mnie jakby dreszcz dalekiego świata zagrobowego. Wydaje mi się nawet, jak gdyby to, co czyni zła gwiazda, mnie jako narzędzia używając, miało obciążyć mą duszę nieśmiertelną, która w tym wcale udziału nie bierze. W podobnym nastroju postanowiłem zrobić piękną koronę diamentową dla Najświętszej Panny w kościele Świętego Eustachego. Ale ilekroć zabierałem się do dzieła, ogarniała mnie nieokreślona trwoga, tak więc poniechałem wszystkiego. Teraz wydaje mi się, że posyłając pannie de Scudéry najpiękniejszy klejnot, jaki kiedykolwiek wypracowałem, składam pokorną ofiarę cnocie i pobożności i że w ten sposób choć w części okupię moje winy.”

Cardillac, obeznany najdokładniej z całym trybem twego życia, zacna pani, wskazał mi sposób i czas, jak i gdzie mam ci doręczyć klejnoty, które zamknął w pięknej szkatułce.

Cała moja istota drżała radością i zachwytem; niebo samo za pośrednictwem występnego Cardillaca wskazało mi drogę do wybawienia z tego piekła, w którym niszczałem jak odtrącony grzesznik. Wbrew woli i poleceniu Cardillaca postanowiłem osobiście spotkać się z tobą, pani. Jako syn Anny Brusson, jako twój wychowanek, zamierzałem upaść ci do nóg i wyznać ci wszystko, wszystko, wszystko wyjawić. Byłabyś, pani, zachowała tajemnicę, pomnąc na bezgraniczną boleść, jaka groziła biednej, niewinnej Madelon w razie odkrycia, twój szlachetny, bystry umysł byłby bez wątpienia znalazł niezawodne środki, aby zapobiec niegodziwej złości Cardillaca. Nie pytaj mnie, pani, na czym miały polegać te środki — nie wiem tego, ale jak wierzę w kojącą pociechę Najświętszej Panny, tak byłem o tym silnie w duszy przekonany, że zdołasz i mnie, i Madelon uratować.

Wiesz o tym, zacna pani, że mój zamiar nie powiódł się owej nocy. Mimo to nie traciłem nadziei, że innym razem pomyślniej go przeprowadzę. Tymczasem Cardillac utracił nagle wesołość. Chmurny błąkał się po domu, wpatrywał się błędnie przed siebie, mruczał niezrozumiałe słowa, machał rękami, jak gdyby broniąc się przed czymś, było widoczne, że jakieś złe myśli dręczą jego umysł. W ten sposób przepędził raz cały ranek. Wreszcie usiadł przy warsztacie, zerwał się znowu, wyrzwał przez okno i rzekł poważnie i ponuro: „Chciałbym, aby księżniczka angielska nosiła moje klejnoty!” Słowa te przeraziły mnie. Teraz wiedziałem już, że jego błędny duch znowu opanowany został przez ohydne upiory mordy, że głos szatana znowu rozbrzmiał w jego uszach. Przeczulem, że twemu życiu, zacna pani, grozi niebezpieczeństwo ze strony tego niegodziwca. Gdyby Cardillac odzyskał swe klejnoty, byłabyś, pani, uratowana. Niebezpieczeństwo rosło z każdą chwilą. Wtedy spotkałem cię, pani, na Pont Neuf; dotarłem do twojego powozu i wrzuciłem ową kartkę, w której zaklinałem cię, abys otrzymane klejnoty natychmiast zwróciła do rąk Cardillaca. Nie przyszłaś. Skoro następnego dnia Cardillac nie mówił już o niczym więcej,

tylko o tym, że kosztowne klejnoty przez całą noc stały mu przed oczyma, przerażenie moje zmieniło się w rozpacz. Byłem pewny, że mówi o klejnotach tobie, pani, niedawno ofiarowanych, byłem pewny, że przemyśla nad jakimś napadem morderczym, który zapewne zaraz najbliższej nocy przedsięwzięmie. Musiałem cię uratować, zacna pani, chociażby miało się to stać za cenę życia Cardillaca.

Skoro Cardillac po modlitwie wieczornej zamknął się jak zwykle w swoim pokoju, wymknąłem się przez okno, przecisnąłem się przez otwór w murze i przycisnąłem opodal w głębokim cieniu. Po niedługiej chwili wyszedł Cardillac i cicho zaczął się skradać przez ulicę. Pośpieszyłem za nim. Szedł w stronę ulicy Saint-Honoré; serce mi zadrżało. Nagle Cardillac mi zniknął. Postanowiłem stanąć przed twoimi drzwiami, zacna pani. Wtem nadchodzi, śpiewając i pogwizdując; tak samo jak wówczas, gdy przypadek odkrył przede mną zbrodnię Cardillaca, jakiś oficer i mija mnie, nie dostrzegłszy wcale. W tej samej chwili wypada z ukrycia ciemna postać i rzuca się na niego. To Cardillac! Chcę przeszkodzić tej zbrodni; z głośnym okrzykiem w kilku skokach podbiegam do walczących... Nie oficer... Cardillac upada jęcząc na ziemię, trafiony ciosem śmiertelnym. Oficer upuszcza sztylet, dobywa szpadę z pochwy i zajmuje obronne stanowisko, przypuszczając zapewne, że jestem współnikiem mordercy. Skoro jednak zobaczył, że staram się tylko podnieść ciało i nie troszczę się o niego, odbiegł szybko. Cardillac żył jeszcze. Podniosłem i schowałem sztylet, porzucony przez oficera, dźwignąłem ciało za ramiona i z trudem dowlokłem je do domu, a stamtąd tajemnym przejściem do pracowni.

Wiesz już, pani, co się dalej stało. Widzisz więc, co jest moim jedynym występkiem. Oto nie wydałem sądom ojca mojej Madelon i nie położyłem przez to kresu jego niegodziwości. Nie ciąży na mnie żadna krwawa wina. Ale żadna tortura nie wydrze z moich ust tajemnicy zbrodni Cardillaca. Nie chcę, aby wbrew woli odwiecznej potęgi, która ukryła przed cnotliwą córką krwawe czyny ojca, spadła na nią teraz cała nędza i niegodziwość przeszłości; nie chcę, aby karząca ręka ludzkiej sprawiedliwości wydobyła zwłoki ze świętej ziemi, która je przykrywa, aby kat napiętnował hańbą próchniejące kości. Nie... kochanka mojej duszy będzie mnie oplakiwała, jako niewinnie skazanego; czas złagodzi jej boleść. Rozpacz z powodu szatańskich niegodziwości ukochanego ojca byłaby stokroć większa, nie dająca się przeboleć!

Oliwier zamilkł. Nagle strumień łez wytrysnął z jego oczu, rzucił się do nóg pannie de Scudéry z błagalną prośbą:

— Jesteś pani przekonana o mojej niewinności. O tak, nie wątpię w to!... Ulituj się nade mną i powiedz, co się dzieje z biedną Madelon?

Panna de Scudéry przywołała służącą; po krótkiej chwili Madelon zawisła na szyi Oliwiera.

— Teraz już wszystko dobrze, skoro jesteś tutaj... Wiedziała, że ta zacna, wspaniałomyślna pani uratuje cię! — Tak wołała raz po raz Madelon, a Oliwier zapomniał o swojej niedoli, o wszystkim, co mu groziło; był swobodny i

szczęśliwy. Oboje opowiadali sobie rozczulającymi słowy, co musieli wzajemnie wycierpieć. Ciągłe na nowo padali sobie w objęcia i płakali z radości, wywołanej spotkaniem.

Gdyby panna de Scudéry jeszcze dotąd nie była przekonana o niewinności Oliwiera, musiałaby teraz w nią uwierzyć, widząc tych dwoje młodych, którzy w uniesieniu miłości zapomnieli o całym świecie, o swej niedoli i o swym bezmiernym cierpieniu.

— Nie! — zawołała panna de Scudéry — tylko czyste serca są zdolne do takiego upojenia i zapomnienia o wszystkim.

Jasne promienie poranka wdarły się przez okno do pokoju. Desgrais zapukał lekko do drzwi i przypomniał, że czas już odprowadzić Oliwiera Brussona, ponieważ później nie dałoby się to zrobić bez zwrócenia powszechnej uwagi. Kochankowie musieli się rozłączyć.

Niejasne przecucia nieszczęścia, które opanowały duszę panny de Scudéry, odkąd Brusson po raz pierwszy stanął w jej domu, zamieniły się teraz w najstraszniejszą rzeczywistość. Widziała syna swej ukochanej Anny zapłatanego bez własnej winy w taki sposób, że trudno było pomyśleć niemal, aby go można jeszcze ocalić przed hańbiącą śmiercią. Podziwiała bohaterstwo młodzieńca, który wolał raczej umrzeć pod zarzutem strasznej winy, niż zdradzić tajemnicę, przynoszącą śmierć ukochanej. Zastanawiając się nad wszelakimi możliwościami, nie mogła znaleźć jednak sposobu, jak wyrwać nieszczęśliwego Oliwiera straszemu trybunałowi sądowemu. A przecież miała w duszy niezłomne przekonanie, że nie powinna się cofnąć przed żadną ofiarą, byleby odwrócić krzywdę, wołającą do nieba o pomstę, i śmierć, grożącą nieszczęśliwemu. Dręczyła się najróżnorodniejszymi zamysłami i planami, które wchodziły nieraz w zakres niemożliwości i które równie szybko odrzucała, jak tworzyła. Coraz bardziej zanikał wszelki, najdrobniejszy nawet błysk nadziei; była już bliska rozpacz. Ale nieograniczone, dziecięce zaufanie, jakie w niej Madelon pokładała, radość, z jaką mówiła o ukochanym, spodziewając się, że niedługo uwolniony od wszelkiej winy pojmie ją za żonę, to wszystko dodawało pannie de Scudéry nadludzkich sił i aż do głębi wstrząsało jej sercem.

Aby wreszcie cośkolwiek uczynić, napisała długi list do prezydenta La Regnie. W liście przedstawiła, że Oliwier Brusson w najbardziej wiarygodny sposób wykazał swoją niewinność i bezpodstawność zarzutu, jakoby zamordował Cardillaca. Tylko bohaterskie postanowienie wzięcia ze sobą do grobu tajemnicy, której odsłonięcie zadałoby kłam cnotcie i niewinności, wstrzymuje go od poczynienia zeznań przed sądem. Bo gdyby zeznał wszystko, wyznanie to musiałoby go oczyścić nie tylko ze straszego podejrzenia, że zamordował Cardillaca, ale także zwolniłoby go z zarzutu, że należał do bandy niegodziwych zbrodniarzy.

Panna de Scudéry użyła wszystkich środków, jakie daje płomienny zapal i pełna roztropności wymowa, aby zmiękczyć kamienne serce prezydenta La Regnie. Prezydent odpowiedział po kilku godzinach. Wyraził swoje

serdeczne uradowanie, że Oliwier Brusson zdołał się w oczach swej szlachetnej protektorki zupełnie uniewinnić. Co zaś do bohaterskiego postanowienia Oliwiera, który pragnął wziąć z sobą do grobu tajemnicę, pokrywającą zbrodnię, wyraził ubolewanie, że *Chambre Ardente* nie może, niestety, należycie uszanować podobnej bohaterskiej odwagi, lecz, przeciwnie, starać się będzie złamać ją wszelkimi najsilniejszymi środkami. Zakończył przypuszczeniem, że spodziewa się w ciągu trzech dni osiąść tę szczególną tajemnicę, która zapewne skrzętnie ukrywane cudowności wywiedzie na światło dzienne.

Aż nadto dobrze wiedziała panna de Scudéry, co straszliwy La Regnie nazywał środkami, którymi zamierzał złamać upór i milczenie Brussona. Było niemal pewnym, że tortury nie ominą nieszczęśliwego młodzieńca. W śmiertelnej trwodze przyszła jej wreszcie myśl, że najlepiej byłoby zasięgnąć rady uczonego prawnika, aby uzyskać przynajmniej zwłokę.

Pierre Arnaud d'Andilly był wówczas najsłynniejszym adwokatem w Paryżu. Głęboka wiedza i szeroki umysł łączyły się z cnotą i poczuciem sprawiedliwości. Do niego więc udała się panna de Scudéry i przedstawiła wszystko, o ile to było możliwe bez zdradzania tajemnicy Brussona. Sądziła, że d'Andilly z gotowością i zapałem stanie po stronie obwinionego, doznała jednak gorzkiego rozczarowania. D'Andilly wysłuchał spokojnie wszystkiego i uśmiechając się odpowiedział słowami Boileau: „*Le vrai peut quelquefois n'être pas vraisemblable*” — „*Prawda może być czasami nieprawdopodobna*”. Potem wykazał panie de Scudéry, że przeciwko Brussonowi świadczą najbardziej rzucające się w oczy pozory, że La Regnie bynajmniej nie postępuje surowo lub zbyt porywczo, przeciwnie zupełnie zgodnie z prawem; co więcej, nie mógłby inaczej postąpić, nie chcąc zgwałcić obowiązków sędziego. On sam, d'Andilly, nie spodziewa się, aby przez najzręczniejszą obronę można było uratować Brussona od tortury. Sam Brusson tylko może sobie w tym wypadku dopomóc, jeżeli albo złoży szczerze zeznanie, albo opowie przynajmniej dokładnie wszystkie szczegóły morderstwa Cardillaca, aby w ten sposób dać śledztwu nowe podstawy i zwrócić je na inne tory.

— Więc rzucę się do nóg królowi i jego będę błagać o łaskę — rzekła panna de Scudéry głosem zdławionym przez łzy.

— Na miłość Boską, nie czyń pani tego! — zawołał d'Andilly. — Zachowaj na później ten ostatni środek ratunku, bo jeżeli on cię zawiedzie, wszystko stracone bezpowrotnie! Król nigdy nie uniewinni zbrodniarza tego rodzaju; gdyby to uczynił, dotknęłyby go gorzkie wyrzuty ludu, którego życie i zdrowie są zagrożone. Być może, Brusson przez wyjaśnienie tajemnicy lub w inny jakiś sposób zdoła odwrócić padające na niego podejrzenie. Wtedy dopiero będzie czas błagać króla o łaskę, ponieważ nie będzie on wtedy pytał, co sądy udowodniły lub nie, lecz poradzi się swego własnego sumienia.

Panna de Scudéry z konieczności musiała przyznać słuszość słowom doświadczonego adwokata.

Pograżona w głębokim smutku, rozmyślała bez przerwy, co począć, jakich użyć środków, aby uratować biednego Oliwiera. Gdy tak siedziała późnym wieczorem w swoim pokoju, weszła nagle Martinière, zawiadamiając, że hrabia Miossens, pułkownik gwardii królewskiej, pragnie z nią koniecznie pomówić.

— Wybacz, zacna pani — rzekł Miossens, złożony żołnierski ukłon — że nachodzę twój dom tak późno, w tak niestosownej porze! Ale my, żołnierze, nie umiemy inaczej; zresztą dwa słowa usprawiedliwią mnie przed tobą. Przywiodył mi tu losy Oliwiera Brusson.

Panna de Scudéry zaciekawiona, czego się znowu dowie o tej sprawie, zawołała niecierpliwie:

— Oliwier Brusson? Ten najnieszczęśliwszy ze wszystkich ludzi? Co pan wiesz o nim?

— Słusznie zatem przypuszczałem — rzekł Miossens z uśmiechem — że imię człowieka, którym się tak gorliwie opiekujesz, wystarczy, aby mi zapewnić posłuch. Cały świat jest przekonany o winie Oliwiera. Wiem o tym, że pani masz w tej sprawie inne zdanie, które oczywiście, jak słusznie twierdzą, może się opierać tylko na wyznaniach obwinionego. Dla mnie sprawa przedstawia się inaczej. Nikt nie może być silniej ode mnie przekonany o tym, że Oliwier Brusson nie jest winny śmierci Cardillaca.

— Mów pan, mów! — zakrzyknęła panna de Scudéry z oczyma błyszczącymi radością.

— Ja — mówił Miossens z naciskiem — ja sam byłem tym, który położył trupem starego złotnika na ulicy Saint-Honoré niedaleko od domu pani.

— Na miłość Boga! Pan! Pan?! — wołała panna de Scudéry.

— I przysięgam pani, że jestem dumny z mojego czynu — ciągnął dalej Miossens. — Czy pani uwierzy, że Cardillac był jednym z najniegodziwszych, najpodstępniejszych zbrodniarzy, że to on mordował skrycie i rabował w nocy na ulicach i tak długo umiał ujść wszelkim zasadzkom! Nie wiem, w jaki sposób, ale nagle obudziło się we mnie podejrzenie przeciwko temu staremu niegodziwcowi, gdy zobaczyłem zakłopotanie i niepokój jego przy oddawaniu zamówionego przeze mnie klejnotu. Podejrzenie wzmocniło się jeszcze, skoro się dowiedziałem, jak gorliwie i chytrze badał mojego służącego, dla kogo podarunek jest przeznaczony i kiedy go według wszelkiego prawdopodobieństwa odniosę pewnej damie. Już dawniej zwróciłem na to uwagę, że wszystkie nieszczęśliwe ofiary ohydnej żądzy odnosiły zupełnie podobne rany. Byłem pewny, że morderca wyćwiczył się w tym uderzeniu, które natychmiast uśmiercało, i liczył stanowczo na jego skutek. Gdyby kiedyś chybił, musiałaby się wywiązać walka, równa z obu stron. Z tego powodu przedsięwziąłem pewne środki ostrożności, nadzwyczaj proste. Dziwię się tylko, że inni nie pomyśleli o nich i nie zabezpieczyli się w ten sposób przed zbrodnictwami zamachami. Zacząłem nosić niezbyt ciężki napierśnik druciany pod kamizelką. Cardillac napadł na mnie z tyłu. Schwycił mnie z siłą olbrzyma,

ale cios, zwykle niezawodny, tym razem ześliznął się po żelazie. W tej samej chwili wyswobodziłem się z jego uścisku i wbiłem mu sztylet w piersi.

— I milczałeś pan? — zawołała panna de Scudéry. — Nie doniosłeś trybunałowi o tym, co się stało?

— Ośmielę się zauważyć, zacna pani — mówił dalej Miossens — że doniesienie takie, jeżeli już nie o zgubę, to w każdym razie przyprawiłoby mnie o nieprzyjemności i uwikłało w najohydniejszy proces. Czyż La Regnie, wietrzący wszędzie występki, byłby uwierzył moim słowom, gdybym oskarżył o straszny mord zacnego Cardillaca, wzór wszelkiej pobożności i cnoty? Kto wie, czy karzący miecz sprawiedliwości nie zwróciłby swego ostrza przeciwko mnie samemu?

— To przecież niemożliwe — zawołała panna de Scudéry — pańskie pochodzenie... stanowisko...

— O, przypomnij sobie pani tylko marszałka luksemburskiego. Wszak prosty przypadek, że kazał sobie postawić horoskop u le Sage'a, zawiódł go do Bastylli pod zarzutem skrytobójczego otrucia! Nie, na świętego Dionizego, ani jednej godziny wolności, ani kawałeczka ucha nie chcę oddać w ręce rozszalałemu La Regnie, który najchętniej przyłożyłby nam wszystkim nóż do gardła.

— Ależ w ten sposób nieszczęśliwy Oliwier Brusson zginie niewinnie — przerwała panna de Scudéry.

— Jak to, zacna pani? — odpowiedział Miossens. — Niewinnym nazywasz współnika niegodziwego Cardillaca, który pomagał mu we wszystkich występkach, który tysiącrotnie na śmierć zasłużył? Nie, rzeczywiście, jego słusznie śmierć spotka. Opowiedziałem pani istotny związek i przebieg spraw, bo przypuszczam, że bez wydawania mnie w ręce trybunału Chambre Ardente będziesz umiała wykorzystać moją tajemnicę dla uratowania człowieka, którym się opiekujesz.

Panna de Scudéry była zachwycona, że jej wiara w niewinność Brussona została potwierdzona w tak nie dający się zaprzeczyć sposób. A widząc, że młody hrabia i tak wie już o zbrodniach Cardillaca, nie omieszkała mu opowiedzieć o wszystkim i wezwała go, aby wraz z nią udał się do adwokata d'Andilly. Postanowiła bowiem odkryć wszystko adwokatowi pod warunkiem zachowania tajemnicy i zasięgnąć następnie jego rady, co należałoby przedsięwziąć.

D'Andilly wysłuchał opowiadania panny de Scudéry, a potem jeszcze raz wypytywał o wszystkie najdrobniejsze szczegóły. Szczególniej wypytywał hrabiego Miossens, czy rzeczywiście ma niewzruszoną pewność, że został napadnięty przez Cardillaca i czy rozpoznałby Oliwiera Brussona, jako tego, który podniósł ciało zabitego.

— Pomijając już to — odrzekł Miossens — że w jasną księżycową noc bardzo dobrze poznałem złotnika, widziałem także sam u prezydenta La Regnie sztylet, który Cardillaca powalił na ziemię. Jest to mój własny sztylet,

odznaczający się przede wszystkim nader pięknym wykonaniem rękojęści. Ponieważ zaś tylko o jeden krok byłem oddalony od młodzieńca, rozróżniałem dokładnie jego rysy, tym więcej że kapelusz spadł mu z głowy, i bez wątpienia mógłbym go natychmiat poznać.

D'Andilly patrzył przez chwilę w milczeniu przed siebie; potem zaś rzekł:

— Zwykłą drogą nie można w żaden sposób uratować Oliwiera Brussona z rąk sprawiedliwości. Ze względu na Madelon nie chce odkryć morderstw Cardillaca. Ostatecznie nie ma to większego znaczenia. Nawet gdyby mu się udało udowodnić te zbrodnie przez odkrycie tajemniczego przejścia i zrabowanych skarbów, i w takim także wypadku, jako współnika mordercy, nie minęłaby go kara śmierci. Tak samo przedstawia się sprawa także i wtedy, gdy hrabia Miossens opowie sędziom o swojej walce ze złotnikiem. Zwłoka jest tu jedynym, o co należy się starać. Niech hrabia Miossens uda się do więzienia, każe przedstawić sobie Oliwiera Brussona i rozpozna w nim tego człowieka, który ciało Cardillaca zawłókł do domu. Wtedy pobiegnie do La Regnie'go i powie: „Widziałem, jak na ulicy Saint-Honoré zamordowano człowieka. Stałem tuż przy zwłokach, gdy przyskoczył jakiś młodzieniec, pochylił się nad trupem i widząc w nim jeszcze życie, wziął go na barki i poniósł. Poznałem, że tym młodzieńcem był Oliwier Brusson.” Takie zeznanie spowoduje powtórne przesłuchanie Brussona, konfrontację z hrabią Miossens. To już wystarczy; tortury zostaną odłożone, rozpocznie się dalsze śledztwo. Wtedy dopiero będzie czas zwrócić się do samego króla. Bystrości twego umysłu, zacna pani, pozostawiam obmyślenie sposobu, w jaki najlepiej i najzręczniejsz da się to przeprowadzić. Według mego mniemania byłoby najlepiej odkryć przed królem całą tajemnicę. Zeznania Brussona będą poparte tym, co powie hrabia Miossens. Ten sam wynik da się może osiągnąć przez potajemne zbadanie domu Cardillaca. Wprawdzie nie będzie to wszystko podstawą do orzeczenia sądowego, ale może spowodować rozstrzygnięcie sprawy przez samego króla, który, kierując się głosem wewnętrznym, wypowiada słowo łaski wtedy nawet, gdy sędzia musi ukarać winnego.

Hrabia Miossens zastosował się ściśle do rady d'Andilly'ego. Stało się rzeczywiście tak, jak przewidywał adwokat.

Chodziło jeszcze tylko o to, aby znaleźć posłuch u króla, a było to bardzo trudne; król bowiem, sam uważając Brussona za owego straszliwego zbrodniarza, który przez czas tak długi napełniał cały Paryż trwogą i przerażeniem, przejęty był takim wstrętem, że na samo wspomnienie o osławionym procesie wybuchał największym gniewem.

Pani Maintenon, wierna swej zasadzie, aby nigdy nie mówić z królem o rzeczach mu niemiłych, odmówiła wszelkiego pośrednictwa, tak więc los Brussona spoczywał wyłącznie w ręku panny de Scudéry. Ta po długim namyśle powzięła nagle postanowienie, które też natychmiast wykonała.

Ubrała się w czarną suknię z ciężkiego jedwabiu i w długiej czarnej zasłonie, strojna przepysznyimi klejnotami Cardillaca, zjawiała się w apartamentach pani de Maintenon w czasie, kiedy król tam przebywał. W uroczystym tym stroju jej szlachetna postać nabrała tak majestatycznego wyglądu, że najgłębszy szacunek budziła nawet w gawiedzi, pędzącej lekki żywot na dworskich przedpokojach. Wszystko płochliwie ustępowało jej z drogi, a sam król zdziwiony powstał na jej powitanie i postąpił naprzeciw niej. Olśniony blaskiem, jaki rzucały wspaniałe brylanty naszyjnika i bransolet, zawołał:

— Na Boga, wszak to klejnoty Cardillaca!

Potem zaś, zwracając się do pani de Maintenon, dodał z uprzejmym uśmiechem:

— Patrz, markizo, jaką żalobę przywdziała nasza piękna narzeczona po swym oblubieńcu.

— Ależ, najjaśniejszy panie — wtrąciła panna de Scudéry, jak gdyby ciągnąc dalej żart, rozpoczęty przez króla — czyż przystałoby zrozpaczonej wdowie występować w stroju tak błyszczącym od ozdób? Wyrzekłam się już tego złotnika i nie myślałabym nawet o nim, gdyby nie stawał mi chwilami przed oczyma przerażający widok, gdy go zamordowanego tuż koło mnie przenoszono.

— Jak to — zapytał król — widziałas pani tego nieboraka?

Panna de Scudéry opowiedziała teraz w krótkich słowach, jak przypadek zawiódł ją przed dom Cardillaca w chwili odkrycia morderstwa. Pomięła jednak chwilowo milczeniem rolę, jaką odegrał w tym Oliwier Brusson. Opisała straszną boleść nieszczęsnej Madelon, głębokie wrażenie, jakie wywarło na nią to dziecko, i sposób, w jaki wyrwała biedną dziewczynę, ku szalonej radości pospólstwa, z rąk Desgrais'go. Z coraz bardziej rosnącym zapalem przedstawiła następnie sceny z prezydentem la Regnie, z panem Desgrais, a wreszcie z samym Oliwierem.

Król, porwany potęgą najprawdziwszego życia, które płomiennie malowało się w słowach panny de Scudéry, nie spostrzegł nawet, że rozmowa zeszła na temat ohydneho procesu nienawistnego mu Brussona, i nie mógł wyrzec ani słowa. Kiedy niekiedy tylko głośny okrzyk świadczył o wewnętrznym poruszeniu. Zanim spostrzegł, o co chodzi, oszołomiony tym, co usłyszał — zanim zdołał wszystko objąć umysłem i uporządkować, już panna de Scudéry leżała u nóg jego i błagała o łaskę dla Oliwiera Brussona.

— Co pani czynisz? — wybuchnął król, chwytając ją za obie ręce i zmuszając niemal przemocą, aby usiadła na krześle. — Sprawiasz mi pani dziwne niespodzianki! Ależ to straszliwa historia. Któż może poręczyć za prawdziwość tego opowiadania Brussona, wyglądającego raczej na bajkę?

— Zeznanie hrabiego Miossens — odparła panna Scudéry — zbadanie domu Cardillaca... przekonanie wewnętrzne... ach, wreszcie cnotliwe serce

biednej Madelon, które przeczuło równą cnotę i dobroć w piersi nieszczęśliwego Oliwiera!

Król miał już zamiar coś odpowiedzieć, gdy nagle szelest przy drzwiach zwrócił jego uwagę. Louvois, minister wojny, pracujący w sąsiednim pokoju, stanął we drzwiach z zatroskaną twarzą. Król powstał i, idąc za ministrem, wyszedł z pokoju. Obie panie, markiza de Maintenon i panna de Scudéry, uważały tę przerwę za nader niebezpieczną. Król, raz zaskoczony znieacka, mógłby się wystrzeżać, aby nie wpaść powtórnie w zastawioną pułapkę. Po upływie kilku chwil jednak król powrócił, przemierzył kilkakrotnie pokój szybkim krokiem, a potem z rękami założonymi na plecach stanął tuż przed panną de Scudéry i nie patrząc na nią rzekł półgłosem:

— Życzyłbym sobie zobaczyć tę Madelon!

— O, najjaśniejszy panie — odparła panna de Scudéry — wielkim, niezmiernym szczęściem darzysz to biedne, nieszczęśliwe dziecko! Ach, wystarczy jedno twoje skinienie, a natychmiast ujrzysz ją u stóp swoich.

Tak szybko, jak na to pozwalały jej ciężkie szaty, pobiegła ku drzwiom i zawołała, że król chce łaskawie dopuścić przed swe oblicze córkę Cardillaca, Madelon. Potem wróciła, płacząc i łkając z zachwytu i wzruszenia.

Panna de Scudéry przewidywała podobną łaskę królewską i dlatego przywiodła z sobą Madelon, która podczas rozmowy czekała u pokojowej markizy, z krótką prośbą o łaskę w rękę, napisaną przez adwokata d'Andilly.

Po niewielu chwilach Madelon leżała bez słowa u stóp króla. Strach, zakłopotanie, trwożny szacunek, miłość i ból burzyły w jej żyłach rozpaloną krew. Twarz jej płonęła purpurą, oczy błyszczały jasnymi perłami łez, które kiedy niekiedy spadały po jedwabistych rzesach na śnieżyste łono. Król wydawał się jak gdyby zmieszany tą cudną pięknnością dziewczęcia. Podniósł ją łagodnie, a potem zrobił ruch, jak gdyby chciał pocałować jej rękę, którą trzymał w swej dłoni. Ale po chwili puścił ją i znowu wpatrywał się w piękne dziewczę wzrokiem przesłoniętym łzami, świadczącym o najgłębszym poruszeniu wewnętrznym.

Stłumionym głosem szepnęła pani de Maintenon do panny de Scudéry:

— Czy nie dostrzegasz, pani, że ta mała jest odrobinę podobna do pani de la Vallière, dawnej ulubienicy króla. Król poi się teraz najśłodszymi wspomnieniami: toteż można sprawę uważać za wygraną.

Aczkolwiek pani de Maintenon wymówiła te słowa niezmiernie cicho, król widocznie je dosłyszał. Rumieniec przebiegł mu po twarzy, spojrzął przelotnie na panią de Maintenon. Przeczytał prośbę podaną przez dziewczynę i rzekł potem miękko i dobrotliwie:

— Wierzę, moje drogie dziecko, że jesteś przekonana o niewinności twego ukochanego; ale posłuchajmy, co powie na to trybunał Chambre Ardente!

I lekkim skinieniem ręki pożegnał młodą dziewczynę, która omal się we łzach nie rozpląnęła.

Panna de Scudéry spostrzegła z przerażeniem, że wspomnienie dawnej ulubienicy króla, pani de la Vallière, aczkolwiek wydawało się zrazu tak mało znacznym, zmieniło zamysły króla, skoro pani de Maintenon wymieniła jej nazwisko. Być może, król uczuł się niemile dotknięty przypuszczeniem, jakoby zamierzał surowe prawo złożyć w daninie piękności; może spotkał go los marzyciela: cudne, wymarzone obrazy, jakie już miał sobie w duszy utrwalić, rozproszyły się nagle i zniknęły wskutek brutalnego słowa. Może nie widział już przed sobą swojej ulubienicy, lecz myślał tylko o siostrze Louise de la Miséricorde (pani de la Vallière wstąpiła do karmelitanek), czyniącej pokutę i zatopionej w pobożnych rozmyślaniach.

Bądź co bądź nie można było nic innego uczynić, jak spokojnie wyczekiwać postanowień królewskich.

Tymczasem zeznania, jakie hrabia Miossens złożył przed trybunałem Chambre Ardente, rozniosły się po mieście. I, jak to zwykle się dzieje, że lud prosty chętnie przerzuca się od jednej ostateczności do drugiej, tak też i teraz tego samego człowieka, którego niedawno jeszcze przeklinano jako najniegodziwszego zbrodniarza i chciano rozszarpać, zanim stanął na rusztowaniu, zaczęto żałować, widząc w nim niewinną ofiarę barbarzyńskiej sprawiedliwości. Dopiero teraz przypomnieli sobie sąsiedzi o jego nieskazitelnym dotychczasowym życiu, o miłości do pięknej Madelon, o wierności i przywiązaniu duszą i ciałem, jakie okazywał staremu złotnikowi. Całe tłumy ludu pojawiały się często w groźnej postawie przed pałacem prezydenta La Regniego i krzyczały:

— Wydadź nam Oliwiera Brussona! On niewinny!

Nieraz rzucano kamieniami do okien, tak że La Regnie musiał szukać schronienia przed rozjuszonym tłumem wśród zastępów konnej policji.

Minęło kilka dni, podczas których panna de Scudéry nie mogła się dowiedzieć żadnego nowego szczegółu o procesie Oliwiera Brussona. Straciwszy wszelką nadzieję, udała się do pani de Maintenon, ta jednak zapewniła ją, że król milczy o całej tej sprawie i że bynajmniej nie byłoby wskazanym przypominać mu o niej. Następnie markiza zapytała ze szczególnym uśmiechem, co porabia mała la Vallière, a z tonu jej głosu wywnioskowała, że markiza żywi w głębi duszy niechęć do sprawy, która umysł i upodobania króla mogła skierować w innym kierunku. Od markizy nie mogła się więc nadal spodziewać żadnej pomocy.

Wreszcie przy pomocy adwokata d'Andilly udało się panie de Scudéry dowiedzieć się, że król przeprowadził długą tajemną rozmowę z hrabią de Miossens.

Dalej dowiedziała się także, że Bontems, najzaufańszy pokojowiec i wykonawca poruczeń królewskich, udał się do więzienia i rozmawiał z Oliwiera Brussonem; wreszcie, że pewnej nocy tenże sam Bontems z kilku ludźmi przybył do domu Cardillaca i długo się tam zatrzymał. Klaudiusz Patru, mieszkający na dolnym piętrze, zapewniał, że przez całą noc pukano nad jego

głową i że Oliwier był przy tym stanowczo obecny, ponieważ rozpoznał dokładnie jego głos. To więc pewnym było, że król sam rozkazał badać rzeczywisty związek i przebieg sprawy; niezrozumiała była natomiast długa zwłoka w powzięciu postanowienia. La Regnie dokładał zapewne wszelkich starań, aby utrzymać w swych szponach ofiarę, którą zamierzano mu wydrzeć. To już w zarodku niszczyło wszelką nadzieję pomyślnego wyniku.

Może miesiąc upłynął od tego czasu, gdy pewnego dnia pani de Maintenon zawiadomiła pannę de Scudéry, że król pragnie się z nią zobaczyć wieczorem w apartamentach markizy.

Serce uderzyło jej gwałtownie; wiedziała, że los Brussona teraz się rozstrzygnie. Powiedziała o tym biednej Madelon, która zaczęła się żarliwie modlić do Najświętszej Panny i wszystkich świętych, aby obudzili w duszy króla przeświadczenie o niewinności Brussona.

A jednak zdawało się, że król zapomniał o całej sprawie. Bardzo długo rozmawiał uprzejmie i z ożywieniem z panią de Maintenon i z panną de Scudéry, nie wspomniał jednak ani jednym słowem o nieszczęśliwym Brussonie. Wreszcie wszedł Bontemps, zbliżył się do króla i szepnął mu kilka słów do ucha tak cicho, że obie panie nic nie mogły usłyszeć.

Panna de Scudéry zadrżała. Wtem król powstał, podszedł do niej i rzekł z błyszczącymi oczyma:

— Życzę szczęścia, zacna pani! Oliwier Brusson, którym się pani opiekujesz, jest wolny!

Panna de Scudéry nie mogła wymówić słowa, łzy trysnęły jej z oczu, chciała się rzucić do nóg królowi.

Ale on powstrzymał ją, mówiąc:

— Nie dziękuj, nie dziękuj, zacna pani! Powinna byś zostać adwokatem w parlamencie i spory prawne rozstrzygać. Bo na świętego Dionizego, nikt na świecie nie zdoła się oprzeć potędze twojej wymowy. Ale — dodał poważniej — gdy kogoś sama cnota bierze w obronę, czyż nie musi czuć się bezpiecznym przed każdym złym oskarżeniem, przed trybunałem Chambre Ardente i przed wszystkimi trybunałami świata?

Dopiero teraz panna de Scudéry znalazła wyrazy, którymi zdołała wypowiedzieć swoją najgorętszą wdzięczność. Król przerwał jej uwagę, że na nią samą czeka w domu daleko gorętsza wdzięczność niż ta, której on mógł od niej wymagać. Zapewne już w tej chwili szczęśliwy Oliwier obejmuje miłośniczkę swoją Madelon.

— Bontemps wypłaci pani tysiąc ludwików — zakończył król — zechciej je wręczyć w moim imieniu tej małej jako podarunek ślubny! Niechaj poślubi swego Brussona, który bynajmniej nie zasługuje na takie szczęście, ale potem niechaj oboje opuszczą Paryż. Taka jest moja wola!

Martinière wybiegła pośpiesznie naprzeciwko panny de Scudéry, za nią Baptysta; oboje mieli twarze błyszczące radością, oboje wołali uszczęśliwieni:

— Powrócił! Wypuszczono go na wolność! O, kochani młodzi ludzie!

Szczęśliwa para padła do nóg pannie de Scudéry.

— O, wiedziałam dobrze, że tylko pani, pani jedna możesz ocalić mojego ukochanego! — wołała Madelon.

— Ach, wiara w życzliwość pani trwała niezachwianie w mojej duszy! — krzyknął Oliwier.

Oboje ucałowali ręce szlachetnej damy, wylewając tysiące gorących łez. A potem znowu padli sobie w objęcia; zapewniali, że nadziejska szczęśliwość obecnej chwili niszczy i równoważy wszystkie bezmierne cierpienia ubiegłych dni; przysięgali sobie nawzajem, że aż do śmierci nigdy się nie rozłączą.

Po kilku dniach błogosławieństwo kapłana połączyło ich na zawsze. Gdyby nie było to nawet wyraźnym życzeniem króla, Brusson i tak nie byłby pozostał w Paryżu. Wszystko przypominało mu tam straszliwe zbrodnie Cardillaca; obawiał się też, że jakiś przypadek mógłby odsłonić tajemnicę, znaną dotychczas tylko kilku ludziom, i na wieki zniweczyć spokój ich życia. Zaraz po ślubie, pożegnany błogosławieństwem panny de Scudéry, udał się ze swoją młodą żoną do Genewy. Całkowicie zabezpieczony posagiem Madelon, obdarzony szczególną biegłością w swoim rzemiośle i niezwykłymi cnotami obywatelskimi, prowadził tam żywot spokojny, beztroski. Nadzieje, które ojca łudziły aż do samego grobu, spełniły się w jego życiu.

W rok po odjeździe Brussona pojawiło się publiczne obwieszczenie, podpisane przez arcybiskupa paryskiego Hadloya de Chanvalon i adwokata parlamentarnego Piotra Arnaud d'Andilly. Donosiło ono, że pewien skruszony grzesznik pod tajemnicą spowiedzi powierzył kościołowi bogaty skarb zrabowanych klejnotów i kosztowności. Każdy, komu w ostatnich latach, aż do roku 1680, zrabowano jakąś kosztowność, szczególnie przez zbrodniczy napad na ulicy, miał się zgłosić do adwokata d'Andilly. Gdyby opis zrabowanego klejnotu zgadzał się dokładnie z którymś ze znalezionych i gdyby nie zachodziła żadna wątpliwość co do prawomocności uroszczenia, mógł odebrać swoją własność.

Wskutek obwieszczenia, wielu ludzi, których Cardillac zapisał w swej liście nie jako zamordowanych, lecz tylko ogłuszonych uderzeniem pięści, zgłosiło się do adwokata i ku niemałemu zdumieniu odzyskało zrabowane sobie kosztowności.

Pozostałe klejnoty wpłynęły do skarbca kościoła Świętego Eustachego.

Ernst Theodor Amadeus Hoffmann
Panna de Scudéry
Tytuł oryginału: *Das Fräulein von Scuderi*

Redakcja: Hanna Milewska
Zdjęcie na okładce: Andrzej Milewski

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINALENTE 2021

Warszawa 2021

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINALENTE

www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl